JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

PEJZAŻ WILNA ZESZYT VIII–IX

WILNO 1936

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA wychodzą perjodycznie zeszytami objętości około dwuch arkuszy tekstu i ilustracyj i tworzą album opisowe i obrazowe Ziemi Wileńskiej.

Każdy zeszyt WĘDRÓWEK FOTOGRAFA stanowi oddzielną całość pod osobnym tytułem, ale jednocześnie jest częścią składową większego cyklu, odtwarzającego piękno pejzażu w słowie i w obrazach fotograficznych autora. Zeszyty ukazują się we wzorowej szacie graficznej z licznemi ilustracjami na wytwornym papierze kredowym. Ich treść literacka i plastyczna — dzieło jednego autora — dopełnia się wzajemnie i tworzy jedną całość artystyczną.

Dotychczas wyszły z druku:

A. Serja pierwsza, zawierająca

Zeszyt I—Krajobraz Wileński.
Zeszyt II—Przez Ponary do Trok.
Zeszyt III—Krajobraz widziany przez soczewkę.

B. Serja druga

Zeszyt IV i V (podwójny) Jezioro Narocz.

C. Serja trzecia

Zeszyt VI—Człowiek twórcą krajobrazu.
Zeszyt VII—Ruszczycowskie dożynki. (Bohdanów w Oszmiańszczyźnie).
Zeszyt VIII—IX (podwójny). Pejzaż Wilna.

W przygotowaniu:

Zeszyt X—Kalwarja Wileńska.
Zeszyt XI i XII. Nowogródzkie („Kraj lat dziecinnych“).

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA
W SŁOWIE I W OBRAZIE

PEJZAŻ WILNA

JAN BUŁHAK

EXCURSIONS D'UN PHOTOGRAPHE

EN PAROLE ET EN IMAGE

VIII — IX

LE PAYSAGE DE WILNO

WILNO (POLOGNE) 1936
LIBRAIRIE ŚW. WOJCIECH

JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

VIII — IX

PEJZAŻ WILNA

Z 32 ILUSTRACJAMI AUTORA

WILNO 1936
NAKŁADEM „PRZEGLĄDU FOTOGRAFICZNEGO"
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
WILNO — POZNAŃ — WARSZAWA — LUBLIN

TEGOŻ AUTORA

1. **Moja Ziemia,** wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1919 (wyczerpane).
2. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt I. **Krajobraz wileński.** Wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1931.
3. **Fotografika.** Zarys fotografji artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931.
4. **Technika bromowa.** Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin (na wyczerpaniu).
5. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt II. **Krajobraz, widziany przez soczewkę.** Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
6. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt III. **Przez Ponary do Trok.** Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
7. **Bromografika** czyli metoda wtórnika. Wilno 1934. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
8. **Estetyka Światła.** (Zasady Fotografiki) Wilno 1936. Skład główny w Księgarni Św. Wojciecha.
9. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt IV—V. **Jezioro Narocz.** Wilno 1935. Wydanie St. Turskiego. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
10. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt VI. **Człowiek twórcą krajobrazu.** Wilno 1936. Skład główny w księgarni św. Wojciecha.
11. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt VII. **Ruszczycowskie Dożynki.** Wilno 1935. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
12. **Wędrówki Fotografa.** Zeszyt VIII—IX. **Pejzaż Wilna.** Wilno 1936. Skład główny w księgarni św. Wojciecha.

Pod redakcją i przy współpracy autora:

13. Almanach Fotografiki Wileńskiej. Wydanie Fotoklubu Wileńskiego. Wilno 1931 (na wyczerpaniu).
14. Almanach Fotografiki Polskiej 1934, Wilno 1934. Wydawca i skład główny Stanisław Turski. Wilno, ul. Bonifraterska 2 m. 4.

W przygotowaniu:

15. Wędrówki Fotografa. Kalwarja Wileńska.
16. Wędrówki Fotografa. Nowogródzkie („Kraj lat dziecinnych").

Drukarnia Artystyczna „GRAFIKA" Wilno, Tatarska 22 tel. 13-69



„WĘDRÓWKI FOTOGRAFA“ Fot. Janusz Bułhak (syn)



MIASTO KOŚCIOŁÓW Fot. Jan Bułhak

DYSTANS UWIELBIENIA

Drogiej pamięci profesora Juljusza Kłosa poświęcam

I

W JEDNEJ ze swych powieści Henri Bordeaux, gorący miłośnik wsi i przyrody, tak charakteryzuje swoją paryską stolicę: „*L'esprit parisien trouble les loix de la perspective*". Głęboki sens tego skrótu myślowego sprawdza się nietylko w Paryżu, ale daje się zastosować do każdego innego większego miasta — z wyjątkiem może Wilna.

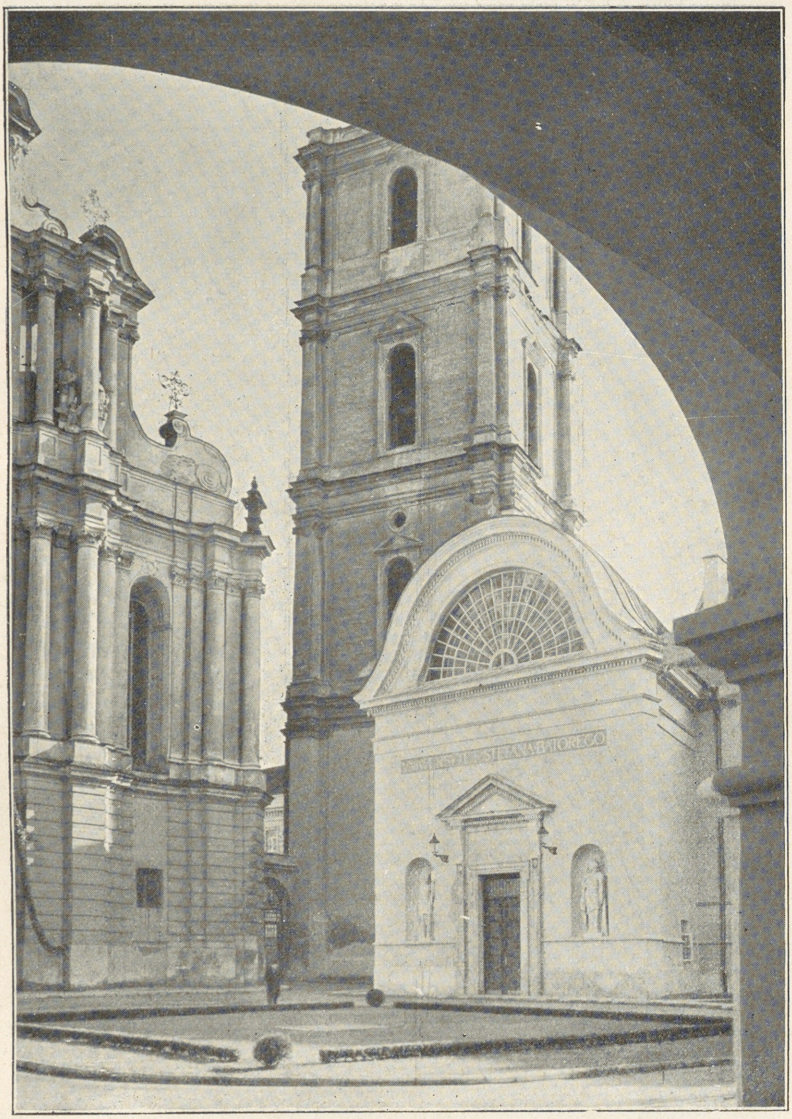
Istotnie — miasto zakłóca prawa perspektywy fizycznej i duchowej, gdyż utrudnia ludziom dostrzeganie spraw istotnych i ważnych. Zasłania widoki ziemi swobodnej i rozległej, przestwór nieba, pełnego barw i ustawicznej zmienności, obrazy prostego życia, zapełnionego treścią zdrową i istotną. Miasto stawia między ziemią a człowiekiem kamienne zapory, wznosi stosy przedmiotów brzydkich i przypadkowych i zakrywa niemi jedyną prawdziwą wieczność ziemską — dal i niebo. Umysł wielkomiejski, szukający rozstrzygnięć materjalnych i doraźnych, zatraca poczucie perspektywy żywego świata przyrody, zapomina, że jego ogrom i piękno leżą przeważnie poza mizernemi

kępkami t. zw. cywilizacji. Miasto europejskie, rozrośnięte i uprzemysłowione, uboży dusze i kształtuje jednostronnie ich widnokrąg, zasłaniając prawdy, których uczy ziemia.

Ktoś inny wypowiedział to samo w zwięzłem, a dobitnem zdaniu: „Bóg stworzył wieś — człowiek zbudował miasto". Znaczy to, że człowiek nie zdoła wymyśleć nic lepszego nad życie, zgodne z boskim ładem przyrody; z chwilą, gdy się jemu przeciwstawia, znajduje we własnych dziełach udrękę i karę. Ale obydwa te powiedzenia, tak trafne dla wielkich zbiorowisk stołecznych, stosują się na szczęście tylko w bardzo nieznacznej mierze do naszego Wilna.

Wilno nie zakłóca perspektywy spraw przyrodzonych i ważnych swojem istnieniem i stanowi w tem prawidle uwagi godny wyjątek. Nie odrazu zgaduje się przyczynę odrębności Wilna, ponieważ rzeczy elementarne są nieraz najtrudniejsze do zrozumienia. A przyczyna jest nadwyraz prosta: oto Wilno nie jest właściwie miastem i nigdy niem naprawdę nie było. Wilno tylko udaje miasto, usiłuje być niem bez większego wyniku i naprzekór biegowi i duchowi czasu nie przestało być wsią. Tylko miejscami, na paru głównych ulicach, ma ono wygląd wielkomiejski. Ale za temi pozorami kryje się rzeczywistość wręcz odmienna. Dlatego tak łatwo jest w Wilnie zrozumieć inne powiedzenie tegoż Henri Bordeaux, że *„un paysage est un état d'âme"*. Wilno jest przedewszystkiem pejzażem i, jako taki, jest stanem duszy, prześwietlonej słoneczną łaską natury.

Tajemnica osobliwego czaru Wilna nie jest



KOŚCIÓŁ ŚW. JANA I UNIWERSYTET



WIDOK NA MIASTO Z WIELKIEJ POHULANKI

sprawą nową, tylko doszczętnie zapomnianą i dzisiaj dopiero odgrzebywaną z popiołów i rumowisk ponurej doby popowstaniowej.

Nie było czasu na zgłębianie tego czaru w poniewierce i pognębieniu; nie było swobodnej myśli i wrażliwości na jego odczuwanie w kazamatach niewoli. Ale u jej schyłku, w początkach bieżącego stulecia, piękno Wilna zaczęło się ponownie objawiać umysłom wnikliwym, zamiłowanym w jego przeszłości, a w całej pełni ukazał je światu Ferdynand Ruszczyc, który porzucił dobrowolnie świetną karjerę artystyczną w Krakowie i Warszawie, by osiąść w niedużem, cichem Wilnie i głosić słowem i czynem każdego dnia jego piękność obecną, jego dawne dostojeństwo i wiarę w jego przyszłą żywotność i chwałę. Ruszczyc był zawsze ściśle związany z Wilnem i Wileńszczyzną — odtwarzał je w „Ziemi", „Wiośnie", „Balladzie", „Dożynkach", w niezliczonych zakątkach rodzinnego Bohdanowa. Malował brzozy i jabłonie oszmiańskie, wileńskie zaułki i splendory architektury, rozsypane na tle okolicznych gór. Ale to mu nie wystarczało. Zapragnął oddać Wilnu — całego siebie, by pójść w jego służbę codzienną, odkrywczą i apostolską. Wziąwszy na siebie trud szeregowca, stał się wodzem duchowym miasta, niekoronowanym królem wileńskiego majestatu. Odsłonił i ukazał podwójne oblicze Wilna: piękno rzeczywistości, splecionej z kunsztownego budownictwa i ze zbiegu przyrodzonych warunków, a zarazem piękno przeszłości, zachowane w kamieniach, księgach i pamiątkach minionych stuleci. Do skarbów wskrzeszonego z niepamięci miasta przydał

żar i moc własnej twórczości, niezmordowanie czujnej, wszechogarniającej, renesansowo bogatej i wszystkie te klejnoty piękna rozsypał hojną dłonią po mieście i kraju. Stał się strażnikiem jego czaru, dzwonem jego dostojeństwa, stał się duszą Wilna.

Po tem apostolstwie Ruszczycowskiem, inni mają zadanie już ułatwione. Wystarczy iść jego śladem z oczami otwartemi i patrzeć, jak w błękitnem omgleniu rysują się dzwonnice i krzyże, góry i drzewa, słuchać, jak biją na nieszpór dzwony świątyń wileńskich, jak im odpowiada głos odwiecznego Wilna, śpiżowy i srebrny. A potem utrwalać i rozpowszechniać wszystko, co podszepnie, wszystko, co odsłoni szczodrobliwie to miasto miłe, pełne niewysłowionego wdzięku. I wzorem wielkiego poprzednika oddać mu w służbę wierną życie...

Droga, utorowana przez Ruszczyca, jest szeroka i ponętna. Wielu już nią poszło ochoczo, wielu złożyło miastu obfitą daninę wiedzy, pracy i zapału. Cóż może dodać do tego jeszcze jeden uczeń Ruszczycowski, usiłujący w swoich skromnych „Wędrówkach" zatrzymać okruchy podpatrzonego piękna? Porywy serca, olśnienia oczu, wiązankę słów, przejętych szczerym entuzjazmem? Tylko tyle. Ale chce to uczynić po swojemu, tak, jak to widzi i czuje. Chce spojrzeć na Wilno oczyma pejzażysty i wieśniaka, chce poprzez jego miejskie pozory dotrzeć do pierwiastków zasadniczych, do tonu duchowego Wilna i ukazać prawdziwe jego oblicze, wiejskie i sielskie.

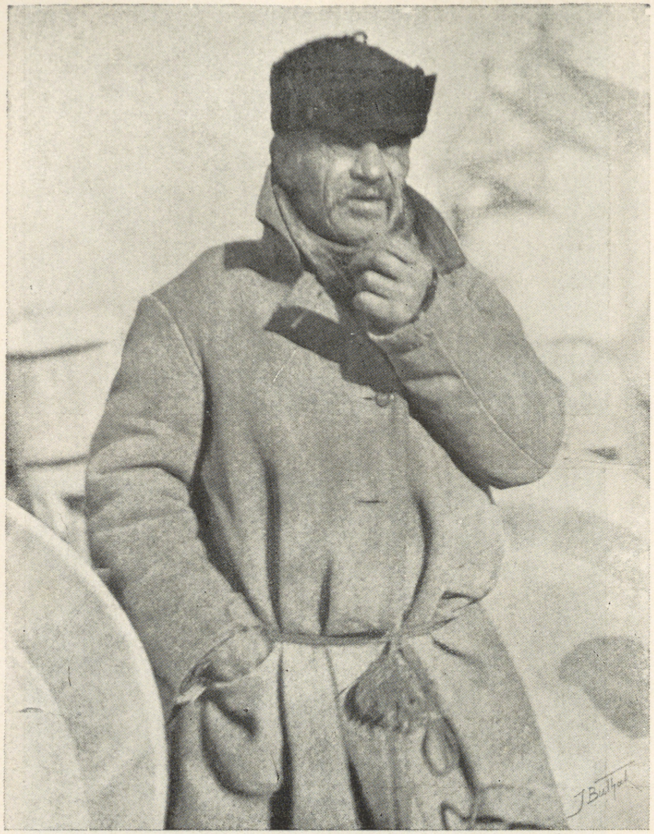
Bo Wilno nie jest na szczęście miastem. Posiada wszystkie cechy dworu wiejskiego, dużego, wielkopańskiego dworu z rozrzutnem bogactwem architektury i prostem pięknem przyrodzonego otoczenia. Ma rozłożystość dolinną, wodną i górzystą, ozdobność naturalną krajobrazu w połączeniu ze wzniosłością dzieł szlachetnego intelektu ludzkiego. Ma świątynie, klasztory i pałace z rozległemi parkami, dwory i dworki z cienistemi ogrodami i podwórzami i wszędzie, poza kilku głównemi ulicami, ujawnia górowanie elementów wiejskich nad urbanistycznemi. Pojęciu miasta wciąż zaprzecza jakaś zielona uliczka, kręty zaułek, kwitnący dziedziniec lub ogródek, jakiś sad warzywny, gaj brzozowy lub zbożowe pole; nawet nieśpieszni przechodnie, paniusie w staroświeckich mantylkach lub kościelne kumoszki i dzieci, rozbawione w zarośniętem podwórku, gdzie jakaś ławka tuli się do starej lipy, a bzy i akacje umilają miejską szarzyznę.

Wilno jest rozproszone[1]), jakgdyby rozwodnione w tym zalewie sielskości magnacko-szlacheckiej. Schodzi na plan drugi i znika wszystko, co stanowi wielkie miasto: bloki czynszowych kamienic, zgiełkliwe rojowisko banków i magazynów, wszystko, co bezstylowe, hałaśliwe, pstre i uprzykrzone. Wędrowiec, który zechce ominąć kilka głównych arteryj wileńskich, potrafi przejść całe mia-

---

[1]) Mówiąc tak, mam oczywiście na myśli Wilno prawdziwe — stare polskie Wilno, ciągnące się od Ostrej Bramy i Rossy, do Śnipiszek i Antokola. Pomijam rosyjsko-żydowską „Wilnę” schyłku XIX wieku, jak się pomija garść śmieci, rzuconych przypadkiem do drogocennej amfory.

sto bocznemi uliczkami zachowując wrażenie spokoju, ciszy i roślinnego otulenia, jak na głębokiej prowincji. Duch ziemi władnie dotychczas Wilnem i objawia się nietylko w krajobrazie, ale i w charakterze mieszkańców, zwłaszcza klasy średniej i prostego ludu. Stan średni pochodzi przeważnie ze sfer ziemiańskich, zdeklasowanych w ostatniem półwieczu. Lekarz, adwokat, inżynier, urzędnik, jeśli nie należą do elementu napływowego, mają zawsze w zanadrzu ideał własnego kawałka ziemi i dążą do niego wytrwale przez całe życie. A gdy któremuś udało się go urzeczywistnić, taki co sobotę skwapliwie porzuca pracę i rozrywki miasta, by powrócić do wsi, do swej przyrodzonej ojczyzny, skąd kiedyś wyszli jego ojcowie. Jakże często mieszczuch wileński jest podszyty ziemianinem wraz z wszystkiemi jego zaletami i wadami! A prosty lud wileński również pachnie raczej stodołą, niż rynsztokiem. Dość porozmawiać ze służącą, sklepikarką, dorożkarzem, rzemieślnikiem, by odczuć swoisty charakter tych ludzi, ich dobroduszną prostotę i życzliwą wylewność. Nawet w rubaszności wileńskiego ludu jest więcej pierwotnego humoru wsi, niż cynicznej twardzizny miasta, nawet w jego niezgrabnej parafjańszczyźnie więcej szczerych odruchów dziecka przyrody, niż surowej dzikości mętów wielkomiejskich. Dziewczyna wileńska może być nieładna, może mieć rysy nieregularne, dalekie od klasycznej foremności, a pomimo tego jej głos, spojrzenie, uśmiech, będą opromienione nieuchwytnym wdziękiem, który rozbraja, zastanawia i pociąga. W rozwlekłej i nieskładnej gadaninie stróża lub woźnego, w jego prostodusz-



KAZIUKOWY DZIADŹKO



DZIEWCZYNA Z ANTOKOLA







TYPY LUDU WILEŃSKIEGO

nem wejrzeniu i ostrożnej powściągliwości odkrywa się nieraz takie złoża dobroci i uważnej delikatności, których mogłyby im pozazdrościć szczyty cywilizacji. Sielski i bardzo ludzki jest charakter rdzennych mieszkańców Wilna.

Niema w tem zresztą nic dziwnego. Środowisko kształtuje na swój obraz i podobieństwo, a ci ludzie wyszli niegdyś z ziemi i jeszcze o niej nie zapomnieli. Inaczej urabia człowieka nawarstwienie kamiennych skrzyń, kryjące glebę żywą i odgradzające jej wygnańców od widoku nieba swą więzienną brzydotą. Miasto stwarza przymus deptania sobie wzajem po piętach i zatruwania każdej chwili stadną wspólnotą, miasto utrzymuje człowieka w barbarzyńskiej nieznajomości ziemi i nieba, drzew i wód, powietrza i przestrzeni. Zabija zdrowe pojmowanie życia, zgodnego z przyrodą, rodzi tępą obojętność lub wzgardliwą wrogość względem wszystkiego, co nie jest mieszczańskiem żerowiskiem. Więc charakter jego mieszkańców formuje się zgodnie z otoczeniem, staje się twardy, gorączkowy, upośledzony i jednostronny.

A Wilno? Jakże ono kształuje człowieka? Wilno nie kryje gruntu kamienną powłoką wielopiętrowych kwartałów i betonowych opancerzeń! Najwyżej próbuje — i to z niewielkiem powodzeniem — przysłonić matkę-ziemię kociemi łbami polnego brukowca, wśród którego nieproszenie wyrasta trawa, zadając kłam pretensji miasteczka do sztywnego stołecznego sprężenia. Wilno gnieździ się i rozkłada na otwartym obszarze pierwotnej ziemi, pełnej roślinnego bogactwa, któ-

rego nie są w stanie zniszczyć ojczymowie municypalni mimo wszelkich wysiłków. Zbyt zasobne jest na to Wilno, zbyt hojnie uposażone przez naturę. Splażono cały niemal dorodny las sosnowy na Zwierzyńcu, przetrzebiono dębowe gaje w kolonji koło Rossy, zwalono w ogrodzie Botanicznym szacowne topole, pamiętające profesora Jundziłła i erę mickiewiczowską, co roku niknie cichcem po nocy jakaś aleja lub grupa drzew, a Wilno, pomimo tej macoszej opieki, jest zawsze zielone i kwitnące, jak szlachecka sadyba i wita przechodnia szumem konarów i miękką uległością polnej ścieżki. Nie odtrąca twardym betonem uporządkowanego chodnika i wyślizganej jezdni, lecz pozwala nogom przylgnąć do podatnego gruntu i spocząć na gościnnej darninie. Trzeba tylko zboczyć nieco z magistrali na te różne Bakszty i Subocze, Hajdy i Piekiełka, Popowszczyzny i Safjaniki, by z ulgą poczuć pod stopami glebę niezakutą w niewolę głazów, bliską, oddającą się swem drgnieniem przychylnie, jak uścisk przyjacielskiej ręki. To samo odczują oczy. Wilno nie zasłania niebieskiego sklepienia odrutowaniem więziennych klatek — jak przed wiekami spogląda rozwartemi źrenicami placów, podwórzy i ogrodów, żyje pod niebem łaskawem, malowanem chmurami; pod ogromną, wszechobecną kopułą niebios żyje tak samo, jak każdy dwór wiejski i jak każda mieścina.

Wilno nie śpieszy się i nie tłoczy. Nie pomija tego, co odwieczne, w pogoni za przemijającemi błyskotkami. W Wilnie ma się czas, by spokojnie przystanąć w załomie uliczki, gdzieś na

Bakszcie i popatrzeć, jak wznosi się, spada i faluje czerwono-zielona panorama Zarzecza, jak górują wileńskie Hradczany — Misjonarskie zwieńczenie kościelne, wyrastające wytworną strzelistością swych wieżyc. Ma się czas pomarudzić na skrzyżowaniu zaułków, gdzie nagle wykwitnie sylweta Dominikanów lub Wszystkich Świętych, jakby stworzona po to, by dokomponować układ staroświeckiego sztychu. Ma się czas posłuchać, jak biją nieszporne dzwony, na których głos suną „chusteczkowe" i „kapeluszowe" paniusie z wytartemi książkami do nabożeństwa, wreszcie pójść w dzień targowy na rynek łukiski i pogapić się na barwny kilim, utkany z owoców, warzyw i postaci ludzkich, a potem podnieść oczy wyżej i ucieszyć je widokiem klonowego bukietu, ponad który wznoszą się rumiane wieżyce Świętego Jakóba i bodą krzyżami pierzastą biel obłoków — zupełnie jak w małomiasteczkowej parafji. Czerwienieją śniade mury kościoła, jarzą się łamane kondygnacje dachówek, malowane coraz barwniej, fjoletowe cienie podkreślają bryłowatość załomów, a kościół gorącem spłonieniem żegna słońce, co zachodzi gdzieś koło gór Szeszkini i prześwieca jeszcze poprzez czarną smugę zwierzynieckiego lasu.

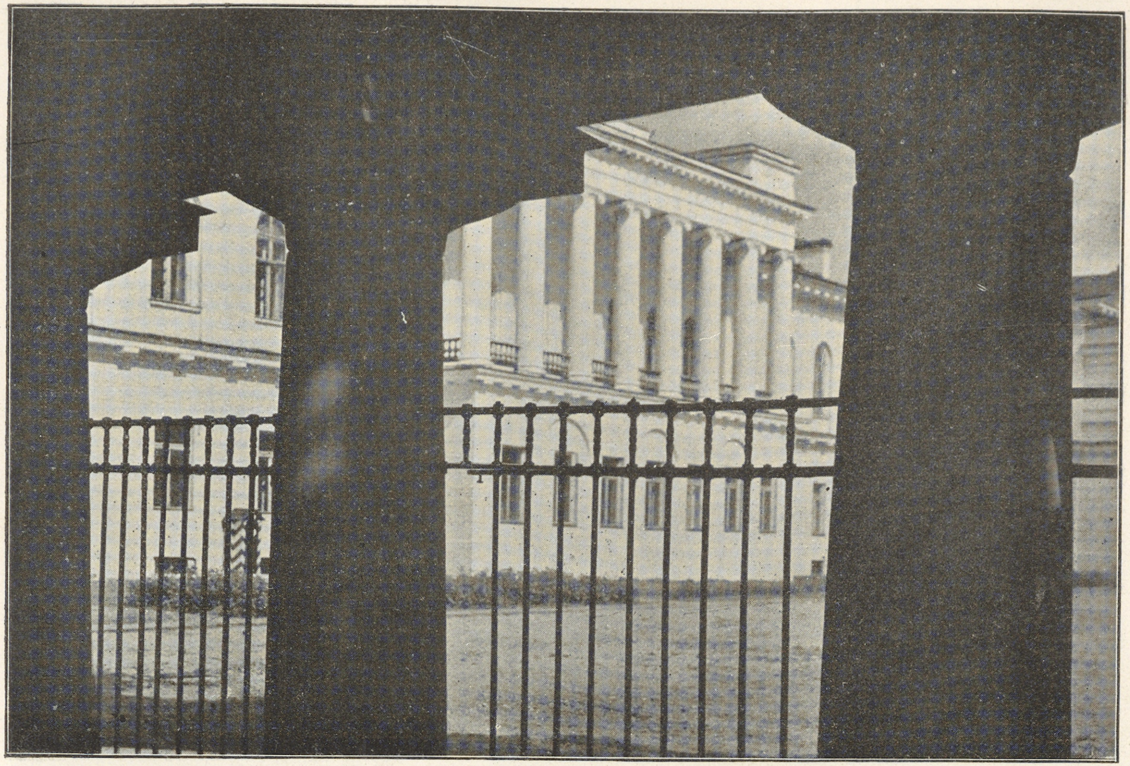
II

Wilno gra kolorami pejzażu i architektury i śpiewa zgodnym zespołem dzieł boskich i ludzkich. Wilno modli się smukłemi wieżami białych kościołów — przemawia legendą kamieni i pomników — gaworzy echem podwórzy i zaułków — bytuje cichym trybem życia prostego i niezłożonego. Żyje w dwudziestym wieku nie o wiele inaczej, niż niegdyś okoliczny pan-szlachcic, chłop-rolnik i łyczek-rzemieślnik, żyje wolno i spokojnie, raczej wioskowo, niż po miejsku, raczej wzwyż i wgłąb, niż wszerz i dookoła.

Słowem — Wilno jest miłe i pełne wdzięku dlatego właśnie, że nie jest miastem nowożytnem, lecz tą samą wsią, tym samym sadem, polem i gajem, jakie są w całym kraju, tą samą ziemią, cudownie stężoną swemi motywami na małym skrawku powierzchni pagórkowatej, rzecznej i falistej. A jednocześnie jest dworem i pałacem, świątynią i klasztorem, rozłożystym parkiem i zacisznym ogrodem, zbiorem dostojnych gmachów i drogocennych pamiątek, pomnikiem wielkości ducha narodowego i świadectwem jego niezniszczalnej mocy. Łączy w sobie wdzięk pejzażu z majestatem architektury, mądrze podkreślającej naturalne za-



WIEŻE I KRZYŻE



PODWÓRZEC PAŁACU BISKUPIEGO

lety położenia i wyzyskującej je dla okazałych kompozycyj dekoracyjnych. A na swej malowniczej palecie posługuje się najchętniej trzema naczelnemi barwami: świecącą bielą murów, spatynowaną czerwienią dachów i soczystą zielenią roślinnej szaty.

Właściwy dawny gród wileński, złożony z jedynej osiowej ulicy od Ostrej Bramy do Katedry wraz z rozwidleniem ulicy Niemieckiej i Wileńskiej przy ratuszu i z siecią przyległych uliczek drugorzędnych, jest jakby przypadkowym epizodem miejskim, wplecionym pomiędzy rozłożyste kompleksy pałacowe i klasztorne. Gród ten całą strukturą zaprzecza istocie nowoczesnego miasta i co krok ujawnia swą odrębną historję, ziemiańską i szlachecką. Na początku były góry i rzeki, gęste połacie leśne i niebo ponad tem wszystkiem. Książęta i królowie zbudowali zamki na górze i u jej podnóża, wznieśli Katedrę na brzegu Wilenki, dzwonnicami kościołów i ogrodami klasztorów naznaczyli szlak główny do cudownej kaplicy Ostrobramskiej. Panowie i szlachta, wielmoże i biskupi zaludnili ten szlak fasadami pałaców, okolami dworów, gęstwiną parków i zieleńców. Mieszczanie zbudowali pośrodku ratusz i kramy, — i na tem w grubszych zarysach skończyło się całe Wilno. Miejska reszta, to tylko drugorzędne uzupełnienie przerw powstałych w tym grodzie świątyń, pałaców i dworów, to nikły wtór kilku głosów w grzmiącej, organowej hosannie.

Więc Wilno jest sielskie i mówi o tem głosem miękkim, jakgdyby nieco zawstydzonym. Przypomina Mickiewiczowską litwinkę w porannym

stroju domowym; wygląda w tym stroju prześlicznie, ale uważa, że „do gości“ wypadałoby być ubraną inaczej. Obok tego Wilno jest monumentalne i świadczy o tem milczącem dostojeństwem wiekowych murów. Ten przedziwny dwugłos to rozbrzmiewa wspólnie, to rozgałęzia się i płynie oddzielnemi strumieniami, ale nigdy nie tworzy rozdźwięku. Całość przemawia zawsze zgodnym akordem lirycznego uśmiechu wśród kamiennej zadumy przeszłości. Przemawia oczywiście nie do wszystkich. Wobec stołecznego snoba lub amerykanizującego komiwojażera Wilno zazdrośnie kryje swe wdzięki, ukazuje obojętnie swoje braki cywilizacyjne i pozostawia przybyszom łatwe zwycięstwa dworowania ze swych brukowych „kocich łbów“ i zacofanych urządzeń. Zupełnie zresztą tak samo, jak wileńska dziewczyna z przedmieścia, w której płytki gość przelotny dostrzeże tylko nieregularne rysy twarzy, niezręczność wysłowienia lub niemodną sukienkę. Bo nie dla snobów i komiwojażerów jest przeznaczony ujmujący i tkliwy wdzięk wilnianki i nie dla nich — czarowny uśmiech Wilna, obydwa subtelnie płochliwe i odsłaniające się jedynie w godzinie przyjaznej uwagi, w atmosferze serdecznego obcowania.

Dla tamtych prawdziwe Wilno jest zamknięte, milczące. Czy warto wywnętrzać się przed barbarzyńcami, którzy gonią za błyskotkami i nie znają się na półtonach? Wilno przemawia nie do każdego, bo mówi głosem przyciszonym i tylko o sprawach prostych, albo wielkich. Nie jest zdolne do wykrzyków jarmarcznego zbiegowiska, nie umie zachwalać swej wartości, — woli by się życz-

liwi sami na niej poznali. I ma słuszność. Znamy przybyszów z dalekich krańców Polski, którzy potrafili dojrzeć istotne oblicze Wilna i głosili jego chwałę słowem kunsztownem i mądrem. Znamy obcych entuzjastów Wilna, wiernych jemu aż do grobu. Codziennie spotykamy przyjezdnych, dla których poznanie Wilna jest rewelacją i głębokiem przeżyciem duchowem. Ale znamy i takich, co po krótkim czasie opuścili miasto z obojętnością, albo co gorsza, ze złośliwem szyderstwem, ponieważ nie znaleźli tam rzekomo niczego, prócz prostactwa, braków i niewygody. Nie umieli dostroić do tego szczególnego zjawiska swoich oczu, uszu i serc. I nie dowiedzieli się nigdy, że Wilno jest przedewszystkiem sprawdzianem duszy i intuicji, sprawdzianem delikatnym i niebezpiecznym, że jest ono próbą najgłębszych pokładów jestestwa ludzkiego, czarowną, a zgubną zasadzką dla niewtajemniczonych. Bo Wilno, choć niepozorne, łagodne i ciche, rozróżnia niemylnie i odrzuca bezlitośnie ludzkie plewy od szlachetnego i zdrowego ziarna.

Takie jest oto nasze miasto. Nieporządne, ubogie i zamarłe, jak mówią jedni. Piękne, dostojne i miłe, jak czują inni. Co o niem powiemy dzisiaj? Skąd zaczniemy oglądać Wilno, zaklęsłe między zielonemi wzgórzami w kotlinie dwu ślicznych rzek, najeżone smukłą strzelistością kościołów, niby kolumnowemi topolami rozłożystego dworu?

Nie śpieszmy do wnętrza. Stańmy na chwilę u progu. Poufała pieszczota niezawsze oznacza miłość największą. Kochanek rad odchodzi od umiłowanej kobiety na odległość wzroku, by stamtąd

ogarnąć ją całą zachwyconemi oczyma, nacieszyć się widokiem jej postaci, kroczącej na gobelinowem tle pejzażu cudną zjawą harmonji i wdzięku. A wtedy ramiona zapominają o gorących uściskach, by się rozewrzeć i wznieść w porywie beznamiętnego uwielbienia.

Wilno umieściło się wśród swoich gór tak właśnie, żeby dać oczom patrzącym — dystans uwielbienia.

Spójrzmy na nie zdaleka. Pójdźmy od okolicznych dróg, wijących się po północno-wschodnich wzgórzach, od wysokiej, a fatalnej bramy wypadowej, skąd przez tyle stuleci przychodziły moskiewskie najazdy.

Od wschodu — czy to idąc falującą wstęgą kalwaryjskiego traktu, czy wyżynnym grzbietem wiłkomierskiego gościńca, czy też drogą żelazną, wiodącą od Nowej Wilejki mimo Rekanciszek szeregiem prześlicznych dolin i pagórków — ujrzymy na chwilę mgławą fatamorganę doliny wileńskiej, otuloną leśnemi wyniosłościami, ujrzymy sinozłociste morze, po którem, jak maszty wielkiej flotylli, pływają iglice kościelne w przesłonecznionej kurzawie. Ale niebawem miasto zniknie za wypukłemi kulisami przydrożnego krajobrazu. Ogarnąć wzrokiem całe Wilno można tylko od północy, zbaczając z wiłkomierskiego traktu na obłe tarasy gór Szeszkini za Sołtaniszkami. Stamtąd w wieczornem oświetleniu rozciąga się widok przedziwny, jakgdyby żywcem wzięty ze sztychu lub akwareli z XVIII wieku. Miasto wydłuża się zygzakokowatą, ostrokończastą masą, świecąc w zachodniem słońcu równianką białych świątyń i wieżyc.



„DYSTANS UWIELBIENIA"



MIASTO STWORZONE PRZEZ WIEŚ

Oglądamy całe Wilno, dalekie i drobne, jak w srebrze wykuty model, ustawiony na dłoni olbrzyma. Domów prawie nie widać; toną w zwartem nagromadzeniu drzew i tworzą ogólne tło, z którego wyrasta jasny tłum świątyń, niby rząd dłoni, modlitewnie wyciągniętych do nieba. Ale w tem wzniesieniu niema ani rezygnacji, ani rozpaczy: wieżyce, jak białe ręce kobiet i dzieci radośnie prężą się w błękitny przestwór, z ufnym spokojem oczekują jego wyroków i trwają w słońcu, szczęśliwe swoją świetlistością. A na pierwszym planie tego obrazu rysują się zbożowe pola i małe domki przedmieścia tulą się do wyokrągleń lipowej gąszczy. Słowem — istny sztych z albumu Wilczyńskiego. Braknie tylko obramienia z klasycznym, drobnolistnym jesionem i z kontuszowym sztafażem, by się przenieść o sto lat wstecz, do czasów, gdy niestrudzony doktór Wilczyński, jeden z pierwszych miłośników Wilna, sztychował jego widoki w paryskich zakładach słynnego Lemercier'a.

Płaskowzgórza Szeszkini przechodzą za Sołtaniszkami w lesiste wyże, łączące się z Karolinkami. Ze szczytu któregoś widzimy znowu miasto, odsunięte jeszcze dalej i jeszcze bardziej zmalałe, ale zato ozdobione wspaniałym łukiem Wilji, wciśniętej między sosnowe bory Zwierzyńca i Zakretu. Wyrastają coraz nowe wzgórza, jakgdyby poto, by ukazać z lotu ptaka w coraz nowej postaci miasto, obrzeżone błękitnym szlakiem rzeki, podmalowane ciemnym granatem lasów, dotykających miasta; jakgdyby poto, by dowieść, że Wilno i pejzaż okoliczny stanowią całość, niewiele różniącą się

gatunkowo. Jeszcze krok na zachód — i rozpiętrzą się niewiarogodną fantastycznością terenu Karolinki, urwiste wąwozy i dębowe wzgórza, uśmiechnięte, zaciszne dolinki i powabne, miękkie tarasy, rozsypane po tym bożym zakątku z niewymowną szczodrością i ukazujące to perspektywę różowiejącego o zachodzie miasta, to zielonomodre skręty Wilji. Wilja tutaj już zapomniała o mieście i płynie cichą samotnicą we wspaniałych brzegach lasu zakretowego, aż się nie wydostanie na otwartą równinę Leśników i Doliny, wiodącą hen ku górom ponarskim. Miejscowość ta mogłaby się zwać Doliną Cichej Radości: jej wdzięczny układ, oglądany od ponarskiego podgórza, raduje oczy, jak słoneczna pieszczota. Szeroko, zielono i malowniczo rozkłada się prałożysko rzeki, a środkiem przewija się połyskliwym wężem Wilja. Krąglą się jej nadobne rozploty, opływają jakieś zagaje, pola i osiedla, odbijają w swem lustrze pogodne obrazy nadbrzeżne, kładą do ust słowa zachwytu nad pięknem świata, oglądanego — zdaleka i zgóry... Nie psujmy sobie tych chwil zastanowieniem, czy zbliska świat nie wyglądałby inaczej. Niechaj dystans perspektywy pozostanie — dystansem uwielbienia.

Niepodobna wyliczyć wszystkich wyniosłych punktów podmiejskich, dających możność ogarnięcia szerokim rzutem oka uroczej kotliny wileńskiej i tworzących ów nieustanny „dystans uwielbienia". Śmieją się do niej oczy, ramiona wznoszą się z żarliwem powitaniem, usta szepcą słowa serdeczne i tkliwe, dusza nie może zmieścić radosnej świadomości, że to wszystko wokoło jest



WIDOK Z OGRODÓW MISJONARSKICH



„DOLINA CICHEJ RADOŚCI"



ZWIERZYNIEC, ZAKRET I WILJA



WILENKA POD PUSZKARNIĄ

takie swoje, takie jedyne, najpiękniejsze na świecie całym! Że człowiek w tem mieście żyje i czuje tak samo, jak szumią drzewa, jak rośnie trawa, jak kwitną polne badyle, że obraz tego nienapatrzonego kraju jest taki zgodny z jego wewnętrzną jaźnią, przenika ją nawskroś swą treścią i bierze od niej wzajem jakieś bratnie dopełnienie w miłującem przymierzu... Oczy szybują jak ptaki podniebne, ramiona zaciskają się gorącym chwytem, myśli podniosłe oczyszczają serce z kurzu i pleśni, dusza obchodzi święto wiecznych zaślubin... O Wilno!... O Litwo!...

Rwie się serce do serca miasta miłego. Porzućmy sosnowe szumy Ponar i żółte osypiska Karolinek, wejdźmy przez ulicę Zakretową i zatrzymajmy się na Małej Pohulance, gdzieś w okolicach ulicy Teatralnej lub gimnazjum Zygmunta Augusta. Spójrzmy wdół — ujrzymy już zbliska, u nóg naszych wezbrane zielenią miasto, rozścielone w dolinie i pnące się po zboczach bogatą różnolitością barw i kształtów. I znowu zagrają dzwonnice górną melodję, świecąc w słońcu i wznosząc się chorągwianą gęstwiną, znowu będą odprawiały jakieś nieustające nabożeństwo zespalania ziemi z niebem. Kościoły, zda się, dzwonią we wszystkie dzwony, wołają głosami i myślami wszystkiego ludu, strzelistym wzlotem wyrażają wszystkie jego pragnienia i tęsknoty. Dzwonią bez przerwy i niosą w podniebie wieść o kamiennej i żywej piękności miasta, świadectwo jego cichej i wiernej mocy... Ten refren dzwoniących w niebo świątyń będzie się powtarzał wszędzie, dokąd podąży wzrok. Wilno dzwoni, gra i śpiewa kościelnemi szczytami,

uśmiecha się rozkwitem swych ogrodów, rumieni się czerwienią dachów, wdzięczy się wzorzystością gór i rzek — i chwyta za serce każdego, w kim bije serce zdolne do kochania. Wróżebnie dzwonią serca wileńskich dzwonów gromkiem wołaniem: byłyśmy — jesteśmy — będziemy!...



SIEDEM KOŚCIOŁÓW WE MGLE

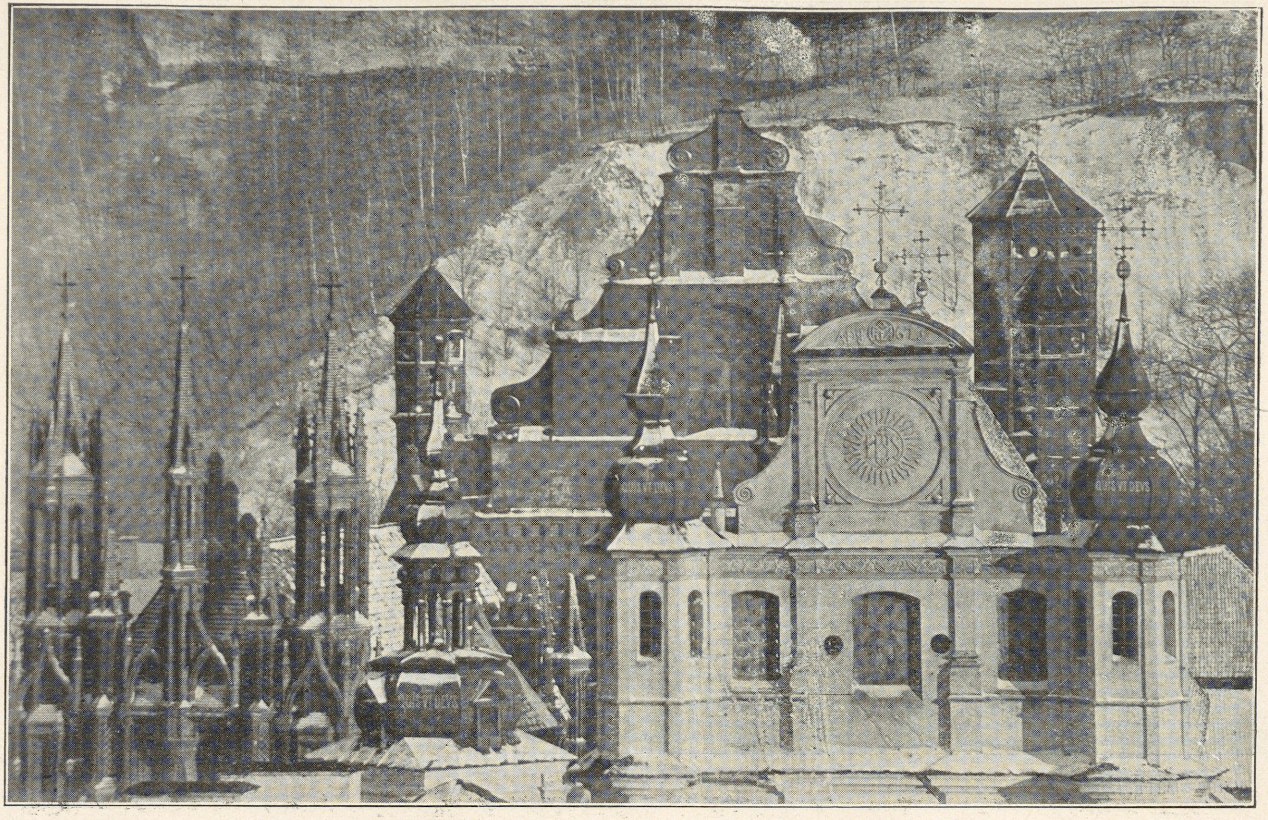


WILJA I PAŁAC SŁUSZKÓW NA ANTOKOLU

III

Ażeby spojrzeć Wilnu oko w oko, trzeba ku wieczorowi wejść na wierzchołek wieży Świętego Jana, tego najwyższego wzniesienia w śródmieściu. Obszerne wnętrze ostatniego piętra wieży ma ażurowe okna i dookolne obejście zewnętrzne, otoczone kutą balustradą. W letni wieczór ujrzymy stamtąd na zachodzie płową rozchwieję dymów, ścielących się nad zamglonem morzem dachów w różowej poświacie. Widnokrąg dalszy obrzeża czarnofjoletowa grań lasów; zaznacza krańce miasta i snuje wieczorną opowieść o bliskiej wsi, o wąwozistych polach Karolinek i Zameczka, o borach Zakretu i Ponar, o stromej rzeźbie doliny rzecznej, o wszystkich rozkosznych niespodziankach przyrody, co się przyczaiła tuż pod miastem i czeka o zapadającym zmierzchu, jak stęskniona dziewczyna na swego kochanka, by jej dopadł, by ją upieścił wzrokiem i pochwycił w miłujące posiadanie. Słodko jest wiedzieć, że „Ona" jest taka bliska, taka piękna, taka bezgranicznie oddana, że wystarczy kilku kroków, by się znaleźć z nią twarzą w twarz, zapomnieć o chwilach rozłąki i znów poczuć się szczęśliwym, bo powróconym w jej czarowne objęcia.

Taki będzie widok zachodu z dzwonnicy Świętojańskiej. Ale w tej wieczornej godzinie przemożnie pociągnie wzrok strona południowo-wschodnia widnokręgu, którą malują i kraszą pożegnalne promienie niskiego słońca. Do tej dzielnicy oczy przylgną same i ogarną każdy jej szczegół. Wnikną przez połamaną rudziznę dachówek w siną cienistość ulicy Zamkowej, podobnej do głębokiego kanału, prześlizgną się po fasadach domów kapitulnych, by się oprzeć na zielonych czubach gór z ośmioboczną bryłą baszty zamkowej i z różową jasnością trzech krzyży, panujących nad amfiteatrem Popowszczyzny. Tam znowu „Ona", wieczna kusicielka-przyroda, skupiła swoje kapryśne wdzięki i rozpiętrzyła je tarasami zdradliwych zasadzek, by przykuć wzrok i pojmać w niewolę wszystkie czucia. Ale tym razem daremnie: wzrok spotka się ze spoczynkiem skrzydlatych aniołów na szczycie Świętego Jana, muśnie załomy czerwonego rozlewu dachów i zewrze się z potrójnym cudem kościołów, splecionych fasadami w jedną rozżarzoną monstrancję, opartą o płowe osypiska Popowszczyzny. Zewrze się z nią wielbiąco, utonie w jej płomienistości, zdradzi dla niej wszystko i będzie trwał w urzeczeniu, aż nie zajdzie słońce. Będzie podziwiał, jak z jednej ukrytej łodygi wyrastają trzy różane kwiaty — Święta Anna, Bernardyni i Święty Michał, jak sczerwienionemi szczytami wieńczą wzgórza, a krzyżami piszą na niebie ogniste „*Sursum corda*"! To jest pieśń wieczorna Wilna, lepiej znana gołębiom, niż ludziom. Ostatni uśmiech słońca na szczytach kościelnych... Różana chwała na wysokościach...



KOŚCIOŁY NA TLE GÓR



„MIASTO" WILNO Z GÓRY BOUFFAŁOWEJ

Kościoły są wileńskie, ale należą nietylko do miasta: wznoszą się nad jego ludem, przyrodą i krajobrazem, wtapiają się sylwetami w wysokie niebo i stamtąd spoglądają na cały kraj. A zespolone z nim w jedno wzniesienie myśli, dają świadectwo w płomienistej glorji zachodu o mieście cudownem, nie znającem rozdziału między dziełem bożem a tworem ludzkim, o mieście, którego stary kształt architektoniczny jest ukojeniem dla oka i myśli i obudza w duszy „harmonję, a nie mękę" [1]), bo nie przeciwstawia się przyrodzie, nie zagłusza jej ani podbija, lecz wiąże się z nią w akord dźwięczny i radośnie zgodny.

I oto żegna się wieczorne słońce z grodem wileńskim. Zapalają się okna tęczową iskrzystością, łuna różowi piaszczyste urwiska nad zakolem Wilenki, zgłuszonemi echami tętnią ulice, a kiedy już słońce utonie w borze zakretowym i pogasną rumieńce na ceglanych zrębach, na grudzie dachówek, na kamiennych czołach świątyń, wtedy miasto otula się szczelniej płaszczem mgławej siności, a niebo ponad niem powtarza rumiane różańce wieczornych pacierzy wileńskich.

Wtedy jest pora zejść z dzwonnicy, płosząc gołębie noclegi i wstąpić o zapadającej nocy na opustoszałe podwórze uniwersytetu. Tam, w dziedzińcu Skargi, księżycowe światło łamie się w łańcuchach arkad i pogłębia ich mroczną rytmikę, od placu Napoleona tarcza wieży zegarowej świeci na podobieństwo czerwono wschodzącej pełni, w dziedzińcu Sarbiewskiego jakieś czuwające okno

---

[1]) Norwid: „Błogosławione pieśni kalinowe".

w górnej wnęce migoce, niby lampa ofiarna kościelnego ołtarza. Od dziedzińca Poczobutta wyniośle krzesze się fronton Świętego Jana i wywyższa się w niebo wielkim ramienistym relikwjarzem. Wzniesione oczy ledwie zdołają dosięgnąć jego szczytu i błądzą po smukłych kolumnach i kwiecistych głowicach, ulatujących wzwyż mgławemi zarysami. Łukowe bramy i krużganki czernieją tajemniczą głębią dookoła zalanych księżycem wirydarzy. Myśl wieków spoczywa, zaklęta w kamienne formy nieśmiertelnego piękna. Wtedy trzeba posłuchać, co te sędziwe mury szepcą o cudnej odnowie życia w nieustannych przemianach, w kolejach bolesnych strat i weselnych narodzin; o mądrem założeniu batorowem, o mickiewiczowskiem haśle „ojczyzny, nauki, cnoty", o długiej nocy niewoli i pohańbienia, o polskiej wiośnie na krwawych ugorach wojny, o nowym rozkwicie tych murów, które wszystko widziały i wszystko przetrwały...

A stamtąd trzeba pójść pod Katedrę i gdy noc uciszy miasto, a księżyc zacznie muskać kolumnowe bryły frontonu—wejść pod ciemny strop portyku i spojrzeć przed siebie. Długie smugi księżycowej bieli będą przerzynały mrok i spływały srebrną rzeką po stopniach, a ogromne słupy dźwigną się tytanicznym podrzutem, jak budowy olbrzymów, podpierające niebo. Śpiące miasto spłaszczy się i zniknie wobec tej kolumnowej wielkości, a zegar katedralnej wieży, głosem ojcowskiej przestrogi, głosem słuchanym przez tyle pokoleń, będzie wybijał uroczyste, wyroczne godziny...

Ale od Katedry dokądże pójdziemy w tej nocnej wędrówce, jeśli nie do kaplicy Ostrobramskiej, której warowne okole rozwartemi ramionami przyjmuje łaskawie każdego przychodzącego? Ta jedyna ocalała brama wileńska — to mistyczne wrota życia całego grodu; przez nią przybywa się doń zdaleka, na niej spoczywa pożegnalny wzrok odjeżdżającego, u jej świętego progu szukają ulgi i uciszenia wszystkie ludzkie serca, jej cudownemu obrazowi niosą cierpiący w ofierze srebrne serca wotów i własne, bólem skrwawione. Wszystko co żyje, kłoni się u stóp Matki Przenajświętszej i modli się do Niej, klęcząc na bruku ulicznym w tej otwartej świątyni, nakrytej niebieskim stropem. A Ona spogląda z góry dobrem, wiedzącem wejrzeniem macierzyńskiego oblicza na swoje dzieci, na cały lud wileński, czuwa nad niemi i nad grodem niechybną boską źrenicą. Wszystko przemija i ginie w kolejach losu i w przemianie czasu — Ona jedna jest wieczna, Miłościwa Królowa i Matka wileńskiej stolicy. Dokądże, jak nie do Niej, pójdziemy zakończyć nasz dzień, strawiony w poszukiwaniu ziemskiego piękna, by napić się ze źródła piękna boskiego?

Ulice po północy już są ciemne i puste, ostro tętnią w ciszy kroki rzadkich przechodniów, w łukach gęstnieje mrok, a przed zasłoniętym obrazem lampa wieczysta płonie czerwonem światełkiem. Obraz, choć niewidzialny, jest zawsze obecny, a opiekuńcze spojrzenie świętych oczu zawsze czujne, słodko przyzywające wędrowca do swej niezawodnej ostoi. Tam to — schylić się do brukowych głazów, ukryć się we framudze muru

i szeptać słowa modlitwy, tej samej, którą się niegdyś powtarzało za matką w latach dziecięcej beztroski... Oprzeć czoło o zimny mur, zagłębić się w siebie, poczuć jak przelotna rzeczywistość znika i ustępuje miejsca powadze spraw wiecznych i zakończyć dzień przeżyć wileńskich w tej najwierniejszej warowni miasta, w tej świątyni pod wysokiem niebem, patrzącem wiecznemi gwiazdami...



WOTUM Z R. 1919 W KAPLICY OSTROBRAMSKIEJ



POD TWOJĄ OBRONĘ...



PEJZAŻ W SERCU MIASTA

RADOŚĆ ZBLIŻENIA

I

O PIĘKNIE „zielonego" Wilna możnaby mówić na setkach stronic i nietylko nie zgłębić tematu, ale wciąż pozostawać u progów uroczego miasta. Tak niezwykłe dzieło przyrody, jak teren jego powierzchni w połączeniu z utworami kształtu, nawarstwionemi przez kilkaset lat szacownej kultury, składają się na swego rodzaju ziemską nieskończoność, w której się łatwo zagubić. A przecież ten szczęśliwy zespół tworu boskiego i ludzkiego gra przebogatą gamą barw i światłocienia i ukazuje się w coraz innej postaci w cudotwórczych promieniach słońca każdej pory roku, każdego dnia i każdej godziny! Patrzeć na Wilno i cieszyć się jego widokiem trzeba wciąż odnowa. Obcowanie z Wilnem — to mitologiczna beczka Danaid, na której wyczerpanie nie starczy życia. Wiele trudu — jeszcze więcej radości.

Więc porozumiejmy się z czytelnikiem, że nasza wędrówka po Wilnie ma zadanie skromne i ograniczone: naszkicuje garść luźnych rzutów oka i wiązankę wrażeń, wybranych dowolnie z wieloletniego pamiętnika przeżyć. Ukaże szczegółowiej sielski charakter miasta, pomijając bardzo wiele

innych rzeczy, godnych uwagi i podziwu, i scharakteryzuje tylko trzy główne elementy wileńskiego grodu: kościół z plebanją lub klasztorem, dwór pałacowy i wreszcie architekturę roślinną: parki, ogrody, zarośnięte place, ulice i góry, lasy podmiejskie i wszystkie elementy pejzażu, które wraz z budownictwem składają się na obraz syntetyczny Wilna, dominujący i niezmienny pomimo obcych naleciałości.

Głęboka kotlina z dwiema rzekami i czterdziestu świątyniami, zamknięta prawie zewsząd górami i zatopiona morzem zieleni — oto Wilno w najprostszym zarysie. Reszta rozpływa sie niepostrzeżenie w przeważającym zespole wieżyc, gór i drzew i świadczy, jak czujnie stoi przyroda na straży pejzażu wileńskiego. Na każdym kroku pilnuje miasta i człowieka, idzie wślad za nim jak troskliwa piastunka i szczodrem rozkrzewieniem osłania i zdobi pośledniejsze formy ludzkiego bytowania.

Na północnym zachodzie ograniczają miasto lasy Zwierzyńca, Zakretu i wzgórza Karolinek i Sołtaniszek. Ciągłość zielonego wieńca zaczyna się zaznaczać mocniej u rozkosznych ogrodów Misjonarzy, Wizytek i Rossy, stanowiących prawdziwe rajskie zakątki malowniczości[1]), następnie przerzuca się przez Wilenkę Markuciami i Popławami, potęguje się na Zarzeczu, by już od niego rozpocząć nieprzerwany pochód liściasty i kwiecisty aż do wschodnich rubieży na Pośpieszce. A gdzie

---

[1]) Na Rossie istnieje zaułek „Rajski" i ogród zwany „Rajem".



WIDOK Z OKOLIC ROSSY



WILENKA ZA LEONISZKAMI

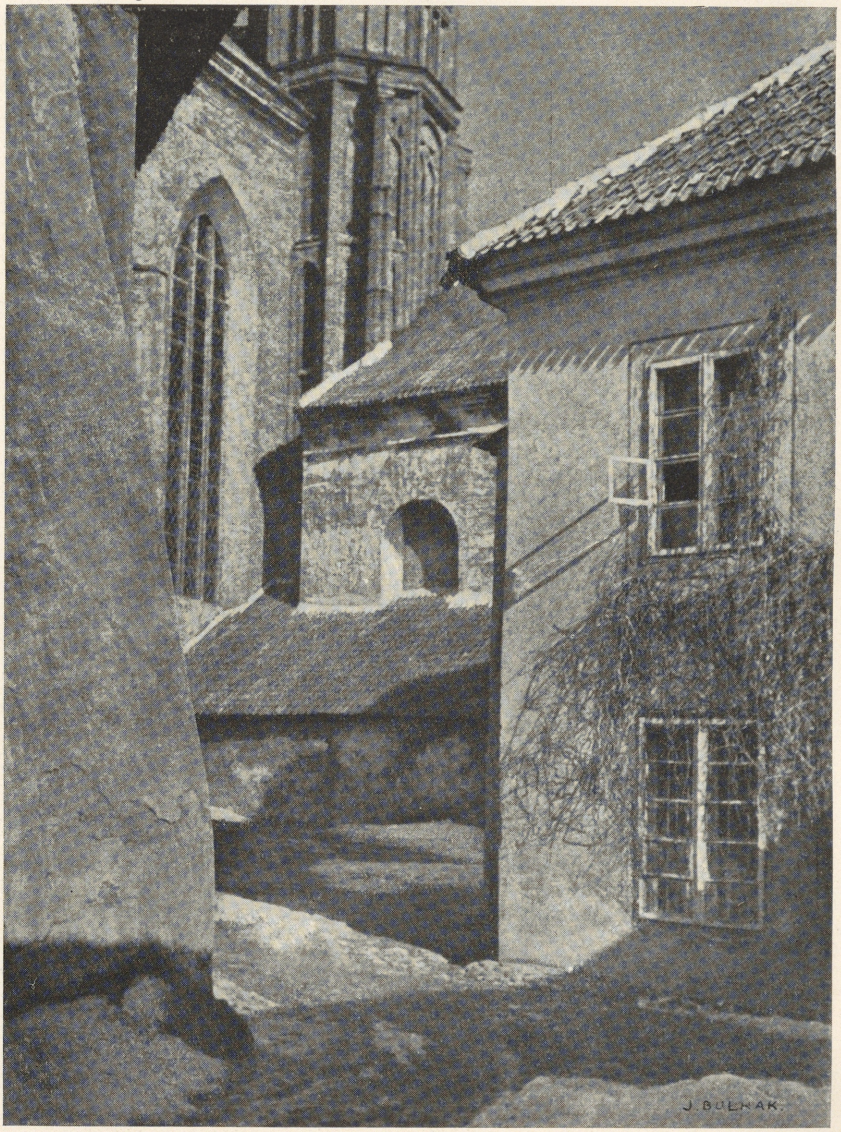
wieniec przerywa się na chwilę, tam przyroda ustawia wysokie naturalne trybuny, by widz nie stracił nic ze wspaniałości roślinnej scenerji. Uwydatnia się to szczególniej na Zarzeczu. Zarzecze — to osobne miasto za Wilenką, takie sobie powiatowe miasteczko z własnym probostwem,cmentarzem i rynkiem,z przeżytkami pałaców i dworów (pałac Honestich), nawet z nieco odrębnym charakterem mieszkańców. Ale cała jego strona wschodnia gnieździ się i wspina po stromym brzegu Wilenki i każde podwórze stanowi widownię na jeden z najpiękniejszych pejzaży wileńskich; jest to jakieś włoskie *„bel-vedere"*, spadające tarasami ku foremnemu półkolu rzeki, ku gęstemu gajowi Bernardyńskiemu ze skupieniem kościelnych wieżyc i znowu wystrzelające żółtemi osypiskami i zielonemi wierzchami gór Altarji; jakiś gwałtowny, przerzutowy skok ponad wdzięczną, dolinną przepaścią. Z każdego podwórza na Zarzeczu będziemy oglądali te belwederskie niespodzianki pod coraz nowym kątem, aż wkońcu dojdą one do zenitu rozległości i potęgi na Popowszczyźnie.

Ogrody Bernardyński i Botaniczny, opasane pieszczotliwym łukiem Wilenki, tulą się do okolicznych gór i tworzą naturalne sceny teatralne z wiekowemi kulisami drzew i gobelinowemi kurtynami urwistych górskich ścian. Mogłyby one być pejzażowemi klejnotami, szeroko rozsławionemi na cały kraj, przy swoich niezwykle szczęśliwych warunkach topograficznych, z któremi może współzawodniczyć w całej Polsce tylko jeden lwowski park Kilińskiego. Ale we Lwowie ludzie naprawdę szanują i upiększają swoje ogrody, a w Wil-

nie umieją je tylko niszczyć. Wycinają w pień stuletnie aleje i grupy drzewne, rzekomo zmurszałe, by na ich miejscu wznosić naprędce klecone budy i szopy i niwelować teren dla sportowych wyczynów i jarmarcznych atrakcyj. Sumiennie czynią wszystko, by zmarnować te dwa przepiękne ogrody i jednak nie mogą im dać rady. Są bezsilni wobec faktu, że ogród Bernardyński pozostaje, mimo wszystko, perłą krajobrazu wileńskiego, dzięki swym niewyrąbanym jeszcze drzewom, dzięki meandrom Wilenki i amfiteatrowi urwistych gór, a park na górze Trzykrzyskiej, mimo spustoszenia ogrodu Botanicznego, wspina się stromemi tarasami klonowej gęstwiny aż do samego szczytu i dopełnia uroku tej przyrodzonej skarbnicy piękna; że wreszcie ogrody prywatne na osypiskach Zarzecza i Popowszczyzny roztoczone, patrzą z góry w głąb przepaścistego *teatrum* wileńskiego, jak wiszące ogrody Semiramidy, współzawodniczą wzniesieniem z najwyższemi wieżycami kościelnemi i tak bytują w prześlicznem odsobnieniu pomiędzy ziemią a niebem. Popowszczyzna — to nieprawdopodobna bajka, która naśmiewa się z wszelkich praw równowagi i statyki. Idzie się skromną uliczką z rzędami ubogich domów, o wyglądzie Oszmiany lub Lidy, ale każde podwórze i każdy ogród tej uliczki wywołuje okrzyk zdumienia i podziwu. Kończy się przepaścią — oszołamiającą panoramą całego Wilna, rozesłanego u stóp widza — zieloną, pastelowo barwną perspektywą, kotliny wileńskiej, spiętej łukiem rzeki, usypanej szmaragdową krąglizną parkowych skupień, najeżoną kościelnemi iglicami i dłużącą się w mgławą



ZAUŁEK ŚW. IGNACEGO



PODWÓRZE U BERNARDYNÓW

dal aż hen — ku obłym płaskowzgórzom Szeszkini. A najpiękniejszy, z niczem niezrównany widok ukazuje się oczom z ogrodu posesji nr. 8, należącej do p. Doskalczuka, dokąd wchodzi się od podwórza po stromych schodkach, by dotrzeć wkońcu do cudownej przełęczy — do wiśniowego sadu z paru ławkami, położonego nie w Wilnie, ale — ponad Wilnem. Tam kończy się świat realny, a zaczyna kolorowa feerja, bajka z tysiąca i jednej nocy, porywająca, zawrotna wizja miasta — ogromna, daleka, jasna, perłowo-modra wizja, której nie opisze żadne pióro, której żadne słowo ani obraz nie potrafią sprostać!...

Stąd poczyna się nieprzerwany zielony gościniec wileński, który może doprowadzić od środka miasta do jego najdalszej peryferji wschodniej przedziwną drogą, nie mającą nic wspólnego z ulicą miejską, drogą górzystego i zarośniętego krajobrazu, zawieszonego wysoko ponad miastem. Góry Altarji, Zamkowa, Trzykrzyska, Stołowa i sąsiednie wiodą rytmem gwałtownych spadków i wzniesień do antokolskiego skarbca barokowego przepychu, do kościoła Świętego Piotra i Pawła, którego rzeźbione wnętrze jest wyrazem bogactwa i pełni życia i gra na wszystkich jego strunach, od wybuchów radosnego upojenia, do niemej ekstazy męczeństwa. A za Świętym Piotrem park Sapieżyński z pałacem, dwiema bramami i kościołem Pana Jezusa tworzy wspaniałe dworzyszcze, dumnie odosobnione i dotykające lasów ulicą Sióstr Miłosierdzia — ulicą, rzekomo miejską, ale otoczoną sosnowym borem. Dalej leśne wzgórza przechodzą w cmentarne gaje i wlewają się w pagór-

kowate pasma Pośpieszki, gdzie zaczątki przedmieścia rozpływają się w zagajnikach i polach Niemenczyńskiego traktu.

Drugie rozgałęzienie tej zielonej drogi idzie od Rossy na południe i trudno orzec, które jest piękniejsze. Zaułki: Piwny, Rajski, Nikodemski i przyległe kąpią się w zieleni podwórzy i ogrodów, ulice Białostocka i Witebska przy torze kolejowym na Rossie są poprostu resztkami wielkiego parku podmiejskiego, bezmyślnie wytrzebionego, a dalej idą przecież prześliczne wzgórza Rossy, Markuć i Hrybiszek, których same nazwy stanowią dla wilnianina symbol malowniczości. Dwór w Markuciach i sąsiednie drogi piętrzą się urwisto nad zakrętem gwarnej Wilenki, cmentarz na Rossie — to górski i leśny labirynt, falujący dolinami i wąwozami, spoczynek zmarłych wśród czaru żywej przyrody, kulminacyjny punkt okolicy z rozległemi perspektywami na oddalone miasto. Za Rossą, po drodze do Nowej Wilejki, owalne linje terenu nabrzmiewają wdzięcznemi pagórkami, spadają w głębokie łąkowe kotliny; wesołą panoramą oblegają drogę żelazną po obydwu stronach toru i nawet z okna wagonu nie dają podróżnym spokoju swoją uśmiechniętą rozłożystością. Tarasami przewijają się Hrybiszki i Rekanciszki po jednej stronie, a po drugiej Leoniszki, Puszkarnia i Kuczkuryszki czepiają się stromych osypisk nad korytem Wilenki i przedłużają to niezrównanie malownicze pasmo Szwajcarji wileńskiej. Samo wyliczanie miejscowości, rwących oko i radujących duszę, zabiera już niemało czasu, a ileż znaleźlibyśmy zachwycających fragmentów na tej krótkiej



WILENKA W KUCZKURYSZKACH



GÓRA SZESZKINIA

przestrzeni kilku kilometrów, jaką różnolitą rzeźbę powierzchni, jaką szczodrą roślinną oprawę, jaką obfitość widoków, to miłych bliskim powabem, to wołających w błękit oddalenia, a zawsze tak przemawiających do serca swym kochanym wiejskim wyglądem! Wymieniliśmy tyle nazw, które niewiele powiedzą obcym, nie znającym Wilna, a przecież na nich nie kończy się ta zielona geografja, stanowiąca bezcenną wartość pejzażową miasta i składająca się na jego sielskie oblicze. Ileżby trzeba jeszcze było poświęcić opisów lasom Zwierzyńca i Zakretu, które czernieją sosnową gęstwą i patrzą na siebie, przedzielone rozlewem maestatycznej Wilji? Zwierzyńca, warującego na niższem wybrzeżu, jak przyczółek forteczny, i Zakretu, górnie spiętrzonego na wyniosłych urwiskach i stamtąd spozierającego z dumną powagą? Czy możnaby pominąć dąbrowy na fantastycznie rzeźbionych wyżach Karolinek i Szeszkini, gaje Wilczej Łapy i Lipówki, cmentarze ruski i barnardyński, jeszcze piękniejsze niż Rossa, wreszcie Belmont przy trakcie Batorowym, gdzie sama nazwa już uprzedza o walorach estetycznych położenia?... Niepodobna opisać te wszystkie cuda — trzeba je ujrzeć na własne oczy, by zrozumieć, czem jest Wilno.

MIASTU - PEJZAŻOWI towarzyszy wiernie miasto - pałac i park, miasto-dwór i ogród. Wspomnieliśmy już o klasztornych wirydarzach Misjonarzy i Wizytek. Rozdziela je wąskim pasem ulicaSubocz, bezprzykładna ulica, nie mająca na dłuższej przestrzeni a n i j e d n e g o d o m u tylko wysokie mury, oparkaniające obie klasztorne samotnie. Ogród Misjonarski w majowe święto jabłoni — to pachnąca, białoróżowa symfonja kwiecistej puszystości, ścieląca się pochyłym skłonem ku modrym źrenicom dwu stawów, obramionych staremi klonami. Sad spływa coraz niżej rozlewem strojnej, urodziwej bieli i tworzy jasne przedpole dla dalekiego obrazu strzelistych wieżyc śródmieścia. Niewiarogodną wydaje się myśl, że o sto kroków od tego białego zacisza przepływa nurt hałaśliwej ulicy, bezsilny zresztą wobec rozległości ogrodu, zajmującego cały kwartał miasta.

Ogród wizytkowski jest mniejszy, ale położony jeszcze wyżej i doskonale zespolony z architekturą kościoła i klasztoru. Już samo obszerne podwórze z rzędami klonów, tulących się do murów, tchnie oderwaną od codzienności, suggestywną zadumą. A ogród w pogodny dzień jesienny, w pożegnalnym szeleście spadającego listowia, w mo-

drozłotych rozelśnieniach bezchmurnego nieba — to cicha, śpiewna elegja. Warto ją przeżyć.

Dwory pałace są dość gęsto rozsypane po mieście, lecz nie narzucają się wzrokowi przechodnia, ukryte wśród przestronnych i cienistych podwórzy. Ich świetność należy zresztą do przeszłości, a stan obecny, zgodny z odmianą czasów i warunków, nie jest wcale kwitnący. Nie przeszkadza to im jednak nadawać miastu szczególnego tonu, którego próżnobyśmy szukali gdzieindziej. Przy ulicy Zawalnej, niedaleko od ludnego centrum, jest taki duży dwór wiejski, należący do Konsystorza Ewangielickiego. Niepozorny front uliczny z barokową bramą przynosi niespodziankę rozległego dziedzińca z trawnikami, kępami bzów i akacyj i z płaczącemi brzozami, a dziedziniec zamyka fasada właściwego pałacu z dwoma bocznemi skrzydłami, przysadzista, wygodna, typowo wiejska. Czujemy się tam przeniesieni gdzieś daleko od miasta, którego nie dopatrzeć ani śladu w tym gazonie z altaną, w tych ławach, opartych o drzewa, w tej ciszy i oddaleniu dostatniej, pańskiej siedziby. Nie jest wolny od tego charakteru nawet klasyczny pałac biskupi (obecnie rządowy) przy placu Napoleona, przebudowany w końcu XVIII w. dla biskupa Massalskiego przez Gucewicza. Nawet szorstkie ręce późniejszych rosyjskich opiekunów nie zdołały zmienić jego oblicza. Wygląd zewnętrzny, od placu, ma wprawdzie po miejsku okazały i sztywny, jak przystało na gmach „reprezentacyjny", mówiąc w dzisiejszej urzędowej polszczyźnie. Ale monumentalny i rozległy jego dziedziniec wewnętrzny, półkolisto obrzeżony kolumnowemi

portykami, już przypomina wiejską przestronność magnackiego pałacu, a wrażenie to jeszcze potęgują wspaniałe drzewa, stanowiące tło kolumnady parkowej.

Łatwo jest wogóle w tej okolicy zapomnieć o mieście, choć to jego punkt środkowy, choć opodal wznoszą się wieże kwartału uniwersyteckiego, a kolos Świętojański góruje nad nim, jak wenecka *Campanile*. Dość jest pójść wzdłuż pałacowego parkanu i wstąpić na placyk kościoła Bonifratrów lub na przyległą ulicę. Klony pałacu biskupiego, skwer przy skromnym, zupełnie wiejskim kościołku nadają temu zakątkowi tyle spokojnego uroku, że kroki przechodnia same zwalniają tempa, a oko znajduje wśród drzew miły odpoczynek. Przy tej sposobności drzewom wileńskim należy się osobna pochwała. Rosną one wszędzie potrochu, nietylko w planowych alejach i skupieniach, ale i przygodnie, niewiadomo dlaczego, jako przypadkowe wydarzenia nieporządkowanego miasteczka. Te są najmilsze i mają najwięcej wyrazu. A że rosną oddawna i należą nieraz do tradycji kilku pokoleń, więc mają wielu cichych zwolenników i przyjaciół, zanim ich nie sprzątnie gorliwa ręka opiekunów samorządowych lub prywatnych. Któż nie znał w ciągu długich lat pokręconej i żałośnie płaczącej brzozy przy kapliczce kościoła Świętej Katarzyny, dorodnego kasztana obok czworogrannej dzwonnicy u Bazyljanów albo starych topoli na górze Trzykrzyskiej, tak wyrazistych w sylwecie i miłych dla oka każdego wilnianina. Tamte znikły z zachowaniem *incognito*, te ostatnie ścięto oficjalnie, rzekomo dla odsłonięcia widoku na Trzy



UNIWERSYTET B. OBSERWATORJUM ASTRONOMICZNE



UNIWERSYTET — DZIEDZINIEC PIOTRA SKARGI

Krzyże. Jeszcze dzisiaj jedna z sióstr tych topoli pyszni się pośrodku chodnika przy placu Orzeszkowej i kolumną wspaniałego pnia bierze udział w towarzyskim natłoku ulicy. A chociaż stanowi prawdziwą ozdobę chodnika i placu, już jest podobno skazana na zagładę z chwilą, gdy na ulicy stanie niefortunny pomnik Mickiewicza. Tylko zresztą na głównych ulicach drzewa są traktowane po macoszemu i wycinane lub dręczone fryzjerskiem strzyżeniem. Reszta jest wolna od mundurowego regulaminu, i rośnie, jak sama chce, a tych drzew jest mnóstwo, rozsypanych po podwórzach, ogrodach, zaułkach i drogach przedmieści. I jakie drzewa! Kędzierzawe brzozy i sutułowate wierzby, schorzałe staruszki; potężnie rozgałęzione topole nadwiślańskie, jakby przesadzonę z jakiegoś dworskiego wjazdu; kuliste, zwarte kasztany i smukłe, wysokopienne jesiony o misternie rzeźbionych koronach; masywne klony, szczególnie umiłowane i liczne, szumne sosny i jodły — wszystko samorosłe, parafjańsko zdziczałe i dlatego takie wymowne. Nie znać na nich przymusu kamiennej ciasnoty wielkomiejskiej, żałującej im każdej piędzi gruntu, rosną tu swobodnie i gałęzisto, rozpierają się szeroko, gną się pod wichrem lub stawiają mu czoło, bratają się ze słońcem i deszczem i całem swojem istnieniem mówią o rodzimej wsi, z której tu przybyły wraz z wiejskim człowiekiem i obyczajem.

Próżnoby się kusić o wyliczenie wszystkich okazalszych i skromniejszych „dworów" wileńskiego „grodu", który powinienby stanowić ich antytezę, a zamiast tego tak dobrze z niemi harmoni-

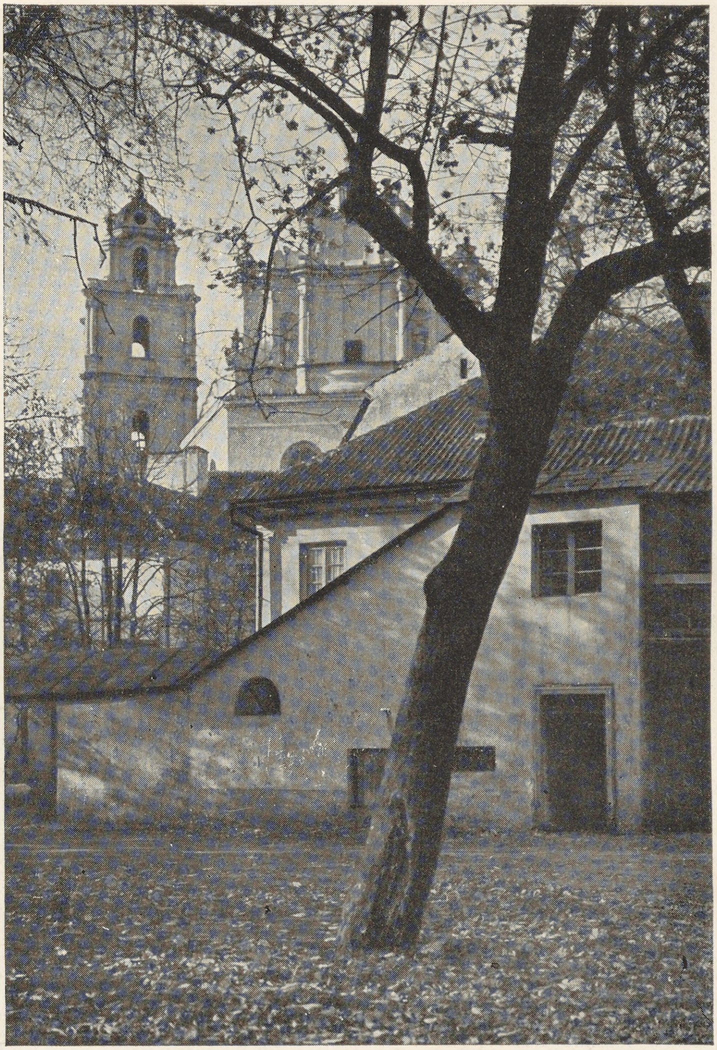
zuje. Zauważmy tylko, że naprzykład ulica Mostowa jest w całej swej rozciągłości mieszaniną miasteczka i dworu. Żadne jej podwórko nie zdałoby egzaminu z municypalnego wykształcenia przy swoich poczciwych domkach, warcholskich drzewach i zapuszczonych murawach. Zato klauzura seminaryjna Świętego Jerzego naśladuje wiszące ogrody Popowszczyzny swemi piętrowemi tarasami, ma wewnątrz prawdziwy sad owocowy i nęci świętobliwą powagą i ciszą, a kompleks domów rodziny Łęskich zajmuje kwartał pomiędzy trzema ulicami (Mostową, Orzeszkowej i Wileńską) i darzy tę ostatnią cienistym szpalerem, zawieszonym wzdłuż muru przez pół ulicy. Gdzieindziej byłoby to wszystko wyrąbane i zastąpione wielopiętrowym drapaczem, a w cichem Wilnie żyje spokojnie, cieszy wzrok przechodnia i jest żywym obrazem i przypomnieniem wsi — w czasach, gdy same dwory wiejskie marnieją i niszczeją. W śródmieściu Wilna możemy pójść na chybił—trafił, gdzie oczy poniosą — wszędzie wkońcu natkniemy się na takie bratnie echa. Przy ulicy Zamkowej przynęci podwórze każdego domu (a wszystkie prawie należą do Kapituły), bo ich stare, szanowne mury, okryte patyną czasu i zielonością, nasuwają myśl o ludziach i sprawach niedzisiejszych. A gdy przy tej pięknej ulicy, niezmienionej od stu lat, skończą się domy kościelne, to zaczynają się uniwersyteckie, obsiadające ze wszech stron gotycki ogrom Świętego Jana. Jeden z najpiękniejszych dziedzińców pałacowych jest w posesji Nr. 24, nawprost apsydy kościelnej. Zbudowany w XVII wieku, gmach ten mieścił w wieku XIX Kolegjum

medyczne Uniwersytetu i służył za mieszkanie profesorowi Becu, ojczymowi Juljusza Słowackiego. Obecnie to samo mieszkanie należy do profesora Ferdynanda Ruszczyca, twórcy Wydziału Sztuki na Uniwersytecie Stefana Batorego i trzeba przyznać, że ten odkrywca i prawodawca wileńskiego piękna nie mógł wybrać siedziby godniejszej i bardziej charakterystycznej. Przestronny dziedziniec zajmuje znów cały kwartał pomiędzy zaułkami Świętomichalskim i Literackim, a zapełnia go czworobok kasztanów nie o wiele młodszych od epoki Mickiewicza i Słowackiego. Gałęzie kasztanów zaglądają w okna Ruszczyca, a z głębi podwórza, ponad obramieniem drzew widać rzeźbiony fronton kościoła Świętego Jana i skrzydlate anioły, przysiadłe na wolutach szczytu. Ten uwieńczony aniołami szczyt wieńczy znowu kasztanowe kopuły i stanowi tu jedyny ślad miasta. Za bramą tętni zgiełkliwa ulica, ale tu w Ruszczycowym dworze grube mury tłumią jej odgłosy i dają ciszy rozrastać się aż do spokoju wiejskiej samotni. Wzrokowi, który napotyka popiersie Słowackiego na ścianie pomiędzy oknami, dotrzyma kroku myśl, wspominająca dawne czasy i zagłębiająca się z pietyzmem w ich wielkie dzieła i dusze Przecież to tu, naprzeciwko — u Świętego Jana, odbyła się w XVII wieku w obecności królewskiej. doktoryzacja poety Macieja Sarbiewskiego. Tu podwórze deptały stopy Jundziłła, Śniadeckich i innych luminarzy nauki wileńskiej... W albumie Wilczyńskiego jest sztych, przedstawiający Jędrzeja Śniadeckiego w tem samem podwórzu, na tle kościoła, a w głębi widać tę samą bramę, którędy

dzisiaj idzie się do Ruszczyca... Sarbiewski, Słowacki, Jundziłł, Śniadecki, Ruszczyc... jak dostojnie szeregują się te imiona i jak wymownie świadczą o niespożytych mocach miasta i ziemi, o niegasnącem nigdy ognisku ducha...



U BAZYLJANÓW



MIESZKANIE FERDYNANDA RUSZCZYCA
PRZY UL. ZAMKOWEJ 24

A PRZEZ ulicę stoi kościół, którego szczyty wyglądały z nad kasztanów dziedzińca. W moich pejzażowych impresjach nie kuszę się o opisywanie architektury Wilna, ale muszę uczynić wyjątek dla tej najwznioślejszej świątyni wileńskiej, której zewnętrzność jest równie piękna, jak wnętrze i łączy surową niebotyczność gotyku z wyszukanym i rozrzutnym przepychem barokowym. Od ulicy Zamkowej — to olbrzymia gładka ściana, mająca prostotę i wielkość skalnego złomu górskiego. Ściemniały krucyfiks w zdobnem obramowaniu, nad nim dwa okna witrażowe, wąskie i długie, a dalej — wyżyna, podniosłość, wzlot, za którym nie nadąży oko w ciasnej uliczce. Tylko z oddali można widzieć i podziwiać lekkość i wytworność zwieńczenia fasady, giętą falistość gzymsów i te aniołki z trzepotliwemi skrzydłami jaskółek, i ten wzorzysty krzyż, roztaczający nad niemi swą promienistą koronkowość...[1]) Kościół, widziany z drugiej strony, z wolnego odstępu krużgankowego czworoboku uniwersyteckiego, — to już zu-

---

[1]) Miasto przyzwyczaja ludzi do kierowania wzroku w dół, ku chodnikowi i wystawom sklepowym, zmusza do chodzenia z głową spuszczoną, jak żerujące zwierzęta. Ale Wilno uczy wznosić głowę wysoko i patrzeć w niebo.

pełny rozbrat z gotyckim porządkiem, to radosny wybuch barokowej bujności, utemperowanej finezją rokoka, wartki rytm kolumnowych szeregów, nawarstwionych coraz wyżej i stromiej, rozkrzewienie wspaniałego relikwiarza, piętrzącego się podniebną apoteozą. A w ukośnych promieniach południowego słońca ta fasada świętojańska — to symfonja światła. Słońce przesuwa się po pilastrach, wnękach i ornamentach złocistą pieszczotą, podkreśla ich bogactwo plastyczne i wygrywa na nich, jak na strunach świetliste melodje, które chłonie się wzniesieniem oczu i duszy. Szczerozłote organy sięgają nieba przepysznie rytmicznym ogromem, a gra na nich słońce...

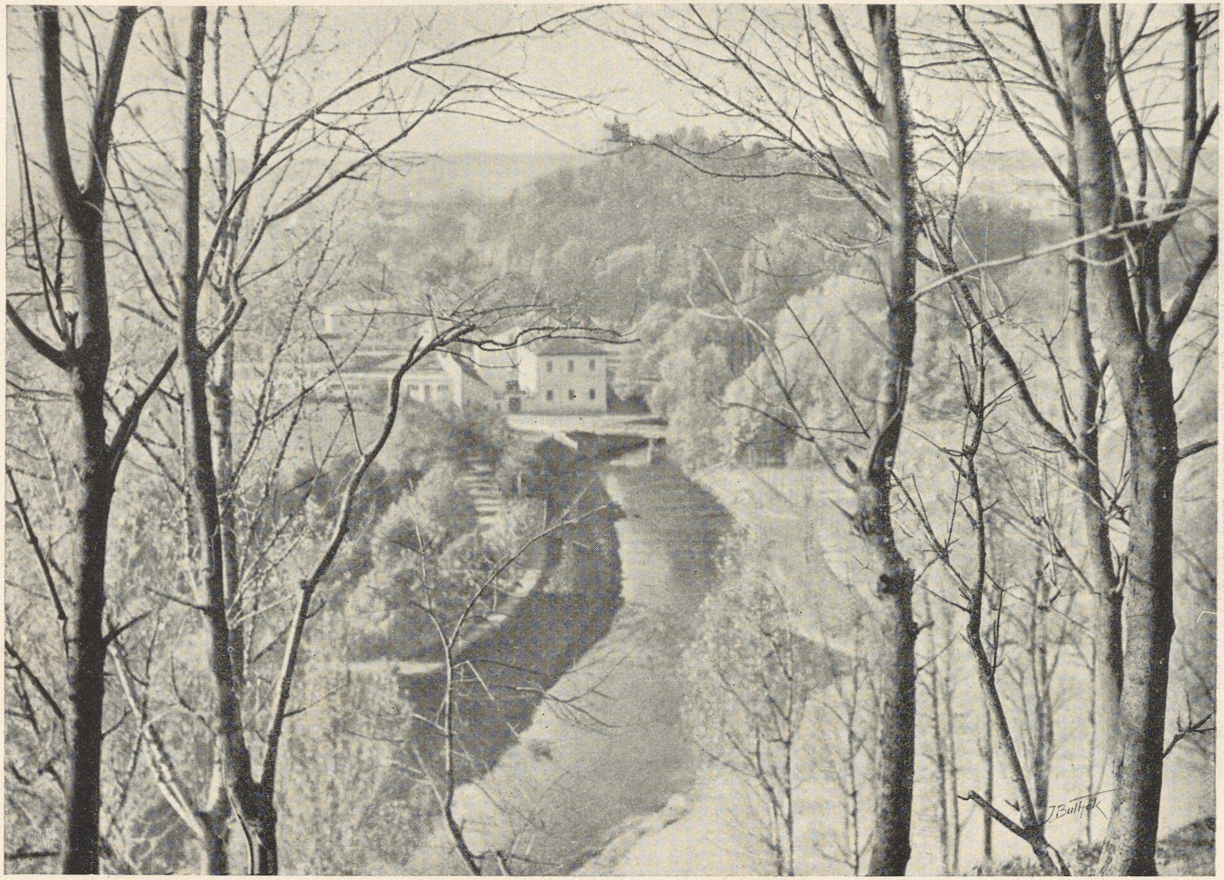
Wchodzimy do środka i odrazu uderza nas kontrast między przestronną jasnością wnętrza, wspartego na prostych i potężnych filarach, a półmrokiem wielkiego ołtarza, majaczącego zdala tajemniczem obłękitnieniem. To nie jest właściwie ołtarz — to tłumny splot dziesięciu wspaniałych ołtarzy zaludnia apsydę i rozwija się niewymowną wielokształtnością od posadzki do sklepień poprzez wszystkie trzy nawy. W zmierzchu modrym i iskrzystym wznoszą się, zwierają i rozsypują zawieruchą plastycznego rozkwitu więzie kolumn, zaploty głowic, wygięcia gzymsów, przeguby przęseł łącznych, kupią się po zagłębieniach gromady posągów, przelatują chmary aniołków ku promiennej galerji stropu. A za niemi witraże prześwietlają szafirowo - złocistym nimbem ten oszalały świat lotnych form i zjaw, wzlatujący ku niebu w wibrowaniu barwnych refleksów, w porywie ekstatycznego uniesienia. Ale w tym wybuchu

niemasz chaosu: rządzi nim harmonijna równowaga całokształtu, która prowadzi od szczytowego emporjum stopniowaną rytmiką bocznych skrzydeł ołtarzowych i spływa na obie strony pilastrami ścian i łukami schodów, jak szumna i świetna powódź brył, barw i blasków. Spójrzmy jeszcze z bocznej nawy wgórę. Od masywnych filarów, kręto powyginanych u podstaw, wzrok posuwa się gradacją ołtarzowych rozgałęzień, wstępuje coraz wyżej wzniesieniem ścian, strzelistością kolumn, podrzutem obramień i ornamentów. Wyrastają wiązania, gzymsy, zwieńczenia, pną się wgórę, wzlatują rojowiska form coraz błękitniejszych od witraży, barwiących ostrołuki sklepień, a nad szczytami ołtarzy, nad krawędziami kapiteli fruwają anielskie zastępy w mistycznem wniebowzięciu. Ale dołem modra jasność mierzchnie, łamią się i mieszają kolory z tajemniczym półcieniem, w który modlitewnie zapada myśl, olśniona wspaniałością, porwana wzlotem tego nieziemskiego świata.

Niechętnie opuszcza się mroczną niszę obok konfesjonału, skąd można odbyć taką wędrówkę do przedsionka niebios. Jednakże musimy wrócić do wędrówki ziemskiej po szlaku antokolskim. I tu, nieledwie od samej Katedry będzie nam towarzyszył nastrój kojącej ciszy. Na miejscu zniesionego na początku XIX wieku Królewskiego Zamku Dolnego kwitnąca zieloność otacza wokoło górę Zamkową, olbrzymim wypukłym szmaragdem wprawioną w turkusową kolję Wilenki. Ta góra jest koronnym klejnotem w wileńskim skarbcu pejzażowym, jest jego ozdobą i chlubą. Gdzie

które miasto poszczyci się w samem sercu taką górą Zamkową? Górą wysoką, foremnie stożkowatą, całą zarosłą kulistym starodrzewiem, obmotaną drogami i widokami, z których każdy jest modrą niespodzianką, głębokiem westchnieniem w nieskończoną dal, ziszczonem marzeniem o ziemskim raju? Górą — królewskim tronem, skąd widać całą litewską stolicę wokoło wraz z bogactwem jej architektury, z przepychem jej przyrody, ze smugami rzek, z plastyczną rzeźbą powierzchni, z kolistym przestworem sinych widnokręgów? Górą — strażniczym symbolem dziejowego majestatu, z resztkami wielkoksiążęcego zamczyska, z prochami obrońców i ofiar wrażych najazdów, z namogilnym krzyżem Zygmunta Sierakowskiego, oplecionym cierniowym wieńcem męczeńskiej sławy? Górą — prześlicznym zielonym labiryntem, sklepionym liściastym sufitem, zbudowanym z żywych ścian drzewnych, zdobnym błękitnemi szybami nieba i opalowemi witrażami przymglonych widoków?...

Na tej górze czuje się w całej pełni dobroczynną hojność wileńskiej przyrody. Otoczyła ona miasto wzgórzami, by na nich ufundować okrężny amfiteatr dla podziwiania patosu świątyń i liryki pejzażu śródmiejskiego. Ale tych punków widowiskowych było jej zamało: zapragnęła przewyższyć rozrzutnością siebie samą i, rozmiłowana w swej urodzie, kazała górom wejść w środek miasta, ustawić się nad łożyskiem rzek i wędrować z niemi nierozłącznie w malowniczym pochodzie aż do wschodnich bram miasta. Kazała górzystym łańcuchom krasić szarzyznę murów i jednocześnie



GÓRA ZAMKOWA I WILENKA



OGRODY MISJONARSKIE

służyć za widownię do ogarnięcia szerokich perspektyw doliny wileńskiej, do nieustannego obcowania z jej powabami. Zatroszczyła się o to, by oko widza miało z każdego miejsca ten dystans uwielbienia, który podnieca i wzrusza, który z widza czyni wielbiciela i wyznawcę, a sercu nie daje spocząć w równowadze doznań spokojnych, lecz zmusza je wciąż uderzać przyśpieszonem tempem radości i entuzjazmu.

Już sama jedna góra Zamkowa mogłaby starczyć za wszystkie przyrodzone walory innych miast, a przecież, wstępując na nią, widzimy wnet sąsiednią Trzykrzyską, nęcącą masywnym, rozłożystym ogromem, uwieńczoną topolami, jaśniejącą trójramienną krzyżową zjawą! A za nią wypływać zacznie wiązanką gór i wąwozów Altarja, wrośnięta w Popowszczyznę, i całą drogę Antokolską, aż do Świętego Piotra i Pawła i dalej jeszcze, będą obrzeżały nieustannym splendorem zielone pasma górskie i błękitna wstęga Wilji, dwa nadobne szlaki monarszego płaszcza stolicy: pasmo falistych pagórków i ciąg dworków i ogrodów, staczających się do łożyska rzeki. Alejami ulicy podadzą sobie one ręce ponad naszemi głowami i będą sobie przygwarzały wraz z powiewami wiatru przeciągłym poszeptem, podobnym do mowy wileńskiego ludu, aż nim nie rozrzewnią, nie oszołomią, nie przygwożdżą swem pięknem biednego wędrowca. Znaj, nędzarzu, czem jest Wilno! Wypatrz oczy, strać rozum, skonaj z zachwytu!...

IV

MIMO szeregu dworków antokolskich kierujemy się do pałacu i parku Sapieżyńskiego, stwierdzając ze smutkiem przed Świętym Piotrem brak kilku starych, bardzo pięknych klonów, które zostały świeżo wycięte, rzekomo „dla rozszerzenia perspektywy" Antokola. Na szczęście wokoło samego kościoła uchował się gęsty szpaler drzew, ujęty w czworobok hełmowych kapliczek, a napis frontonu *„Regina pacis, funda nos in pace“* mówi rzetelną prawdę: ciszą świętej pustelni tchnie podwórze kościelne za tą ścianą. Co krok tutaj będą się nam przypominały słowa o „wsi spokojnej", a szczególnie mocnym akcentem tego nastroju uderzy nas prawdziwy „dwór" Błażewiczów zaraz za Świętym Piotrem, cienisto rozrzucony na dużym szmacie wybrzeża, a ogrodowemi lukami wyzierający na osobliwą ulicę, zwaną „brzegiem antokolskim" i na błękitny rozlew Wilji, płynącej dołem. A po tem preludjum przyjdzie i zabrzmi uroczystą fanfarą magnacka siedziba Sapiehów, gdzie obecnie mieszczą się kliniki medyczne Uniwersytetu. Przenosimy się myślą w czasy, gdy miasto tu nie dochodziło, a bramy, pałac,

park i kościół, wszystko wspaniale rozplanowane wśród kunsztownego zadrzewienia, znajdowało się w szczerem polu i stanowiło przedmiejską rezydencję możnego rodu. Współczesny utylitaryzm zatracił wiele z dawnego przepychu tej rezydencji, ale i pozostałość dostatecznie świadczy o charakterze starego Wilna, gdzie naturalne elementy wiejskiego życia tryumfująco rozrastają się na szkicowym planie miasta.

Zbliżyliśmy się do wschodniego kresu dawnego Wilna, pomijając wiele bocznych wypadów pejzażowych, nie wspominając nawet o ulicach Polowej, Leśnej, Słonecznej i Wiosennej, których nazwy dość dokładnie malują ich wygląd i treść. Wszystkie one mogłyby tylko stokrotnie potwierdzić tezę wiejskości Wilna, stanowiącą kościec tego opowiadania. Nie chcąc się powtarzać, powrócimy jeszcze do zaułków śródmieścia, by wykazać, jak one harmonizują z opisanem obliczem miasta, pomimo swej murowanej zawartości. Zaułki te mają również cechy odrębne, w niczem nie przypominające większości naszych miast. W całej Polsce, pod wpływem obyczaju niemieckiego, wyrosłego na prawie magdeburskiem, ulice zabudowywały się prostolinijnie i krzyżowały się pod kątem prostym, schodząc się przy kwadratowym rynku. Wilno nie poszło za tym przykładem i zbudowało się na własną modłę, pospolitym wioskowym obyczajem, opartym szczęśliwie na bezplanowości i na przypadku. Profile starych ulic wileńskich nie mają sztywnego kratkowania, tak obcego charakterowi słowiańskiemu, i swemi łagodnemi krzywiznami i wygięciami łudząco przypominają wiejskie drogi

i ścieżki. Odczuwa się w nich działanie tych samych warunków życia, jakim podlega wieś. Nawet przylegające domy dostosowują się do falistości ulic wybrzuszeniami swych murów. Prosta ulica miejska wyraża pośpiech, dążność do osiągnięcia celu drogą najkrótszą. Jest to bardzo praktyczne, ale ani zajmujące, ani dekoracyjne. Inna jest geneza drożyny wiejskiej, która powstała nie ze spekulacji mózgu, tylko z odruchowych wymagań samego życia. Ścieżka zrodziła się naturalnie, jako zbieżna potrzeby i przypadku, wydeptana codziennym przechodem miejscowego mieszkańca, zależna od właściwości powierzchni, podatna na każdą nierówność gruntu, czuła w swych odchyleniach od osi, jak igła magnesowa i dlatego wymowna, żywa i piękna. Jak zdobnictwo sztukatorskie w ornamentacji fasad starych domów ujawnia bezpośrednie dotknięcie ręki ludzkiej, w przeciwstawieniu do późniejszych mechanicznych szablonów, wiejących martwą nudą, tak samo wyrazista i zajmująca jest wiejska droga w porównaniu z prostolinijną trasą komunikacyjną. Otóż ulice i zaułki wileńskie musiały powstać niegdyś z obudowanych dróg i ścieżek i zachowały do dziś dnia ich miły, niepraktyczny charakter: idą nieraz w kierunku wręcz niezgodnym ze swoim celem końcowym, a to geometryczne nieporozumienie jest źródłem szczególnego wdzięku i zaraża miękkim, falistym wdziękiem wszystko dokoła—linję rynsztoka i chodnika, wypukłość lub wklęsłość ściany, zarys brzeżny dachu, nawet uszeregowanie kominów.

Kamienice, tyranizowane przez zaułki, dostosowały się ściśle do ich biegu i przybrały najfanta-



ZAUŁEK BERNARDYŃSKI



SKOPÓWKA

styczniejsze formy wieloboczne, obłe, dalekie od suchego, twardego sześcianu. Ta estetyczna tyranja wsi wyszła miastu na dobre, gdyż uchroniła je od germańsko-protestanckiej sztywności i ułatwiła mu zachowanie nieskażonego słowiańskiego oblicza. Wszystkie stołeczne miasta Polski mogłyby pozazdrościć Wilnu jego ulic i zaułków. Spójrzmy na plan śródmieścia i poszukajmy linij i kątów prostych w tej powikłanej sieci wszelakiej krzywizny i obłąkowatości. Niewiem, czyby się znalazło dziesięć ulic prostych wśród tych pięćdziesięciu, które stanowią obwód starego Wilna, zamknięty nieistniejącemi już murami i bramami. Wymienimy chociaż najtypowsze z nich: ulicę Zamkową, Wielką, Ostrobramską (osiowe magistrale miasta!), Mostową, Baksztę i Subocz; zaułki Bernardyński, Swięto-Michalski, Kazimierzowski, Literacki i Skopówkę. Każde z nich ma własną twarz, wyraziście zarysowaną — wystarczy ją raz ujrzeć, by dobrze zapamiętać, nie tak, jak warszawskie „Wspólne“, i „Piękne“, które mają wspólną cechę braku wszelkiego piękna i dają się rozpoznawać i odróżniać tylko podług napisów i szyldów.

Zaułkami wileńskiemi chodzi się wolno i spokojnie, jak polną drogą. Spogląda się dookoła z przyjaznem zainteresowaniem, jak na rodzinną wioskę i nawet napotykani przechodnie nie są tak bezosobowi i obojętni, jak tłumy, przewalające się głównemi ulicami. W zaułku patrzy się na człowieka inaczej, bardziej po ludzku i chciałoby się nieledwie pozdrowić go dobrem słowem, jak to się czyni na wsi. Idzie się sobie „pomaleńku”, środkiem zaułka, a ten odsłania coraz nowe wi-

doki wraz z odwijaniem się jego krętych załomów, podnieca ciekawość, wytwarza stosunek do otoczenia czynny zamiast biernego. Niektóre zaułki, jak Bakszta albo Jeziorny odrazu zdumiewają szeroko i nisko rozścieloną perspektywą, inne wiją się głębokiemi korytarzami, by w pewnej chwili uświetnić wylot otworzonego zagięcia stromą fasadą kościoła lub wyniosłą, rozpromienioną w słońcu dzwonnicą. Jeśli główne arterje miejskie przebywa się szybko i niechętnie, z uczuciem skrępowania, jakie powoduje wymijanie pieszych i hałas ruchu jezdnego, to na małych uliczkach i zaułkach człowiek czuje się swojsko, zwalnia po wiejsku kroku, bo wszystko, co go otacza, jest zajmujące, usposabia do odprężenia, do wyzwalania się myśli, niezagłuszonej przez uprzykrzoną wrzawę. Pomimo bruku i chodnika, nieraz zresztą całkiem prymitywnego, czuję się pod stopami ziemię, a nad głową widzi się bez przeszkody niebo. Ziemia i niebo przypominają idącemu o swojem istnieniu i dają mu poczucie swej przyjaznej obecności.

A kiedy przyjdzie doroczny fest kiermaszowy, albo i pospolity „dzień targowy“, a place wileńskie zapełnią się różnokolorową ciżbą ludu i towaru, przybyłego z okolicznych wsi — wówczas wita się z tajemną sympatją tę pstrokatą i niesforną inwazję wioski na miasto i z zadowoleniem wziewa znajome zapachy baranich kożuchów, dziegciowych butów, przejącego siana i smolnego, świeżo obrobionego drzewa, zapachy surowe i mocne, lecz o ileż milsze od słodkawego miejskiego fetoru. Oko błądzi z rozkoszą po woskowo-żółtych, jędrnych jak miąższ jabłeczny, statkach

drewnianych, po wielobarwnej mozaice warzyw i owoców, po siwych i burych siermięgach chłopskich, po stertach rozrzuconych samodziałów i szafranowych zwałach smorgońskich obwarzanków. Ucho wsłuchuje się z lubością w dudniący gwar jarmarczny, w tę przeciągłą, koszlawą polszczyznę zaściankową, albo w pokrewną jej, nieco twardszą białoruszczyznę i znajduje w nich echa, współbrzmiące z własną podświadomą wymową. Myśl wita przychylnie tę rozkołysaną „wędrówkę narodów" i stwierdza z pewnem zdziwieniem, że te wiejskie gromady, te drabiniaste wozy i oszerszeniałe konie są zupełnie na swojem miejscu śród wielkiego placu Łukiskiego obok magistralnej ulicy Mickiewicza. W mieście o innym charakterze wyglądałyby obco i rażąco — tutaj nie tworzą żadnego rozdźwięku z otoczeniem, jakgdyby znajdowały się u siebie w domu.

Bo w Wilnie, człowiek, dom, podwórze, ogród i ulica — wszystko jest naznaczone tą samą cechą domowej swojszczyzny, serdeczną, zieloną pieczęcią przyrody, wszystko wyszło z ziemi i jest przepojone jej prostotą i sentymentem. W Wilnie nie można pozostawać długo obojętnym widzem i obcować z niem na zimno. Wilno pociąga lub odtrąca. Albo się je zrozumie i pokocha bez zastrzeżeń, albo się odchodzi od niego gderliwym malkontentem. Nie wszyscy odczuwają świadomie tę moc przyciągającą i nieprzepartą, w której kryje się czar Wilna, nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo są do niego przywiązani; czasem dopiero zmiana miejsca i porównanie z miastem innem wydobywają na jaw podświadome zrosty uczucio-

we i wzbierają strumieniami żalu i tęsknoty. Ale te zrosty są głębokie i mocne. Wilnianie kochają swoje miasto szczerze i wiernie, gdyż kochają je nie za wygody, blask i zbytek, lecz — pomimo ich braku. Kochają Wilno po synowsku, po wiejsku, po polsku.

Miłość jest twórcza. Oczyszcza ona i pogłębia swe źródła i w przedmiocie miłowania odnajduje niewyczerpane zasoby motywów tego pogłębienia. Wilnianin jest serdecznie rad swemu miastu i żyjąc z niem w zgodzie wewnętrzej, znajduje w każdej chwili sposobność do odczuć i wrażeń, które są nie opornem przeciwstawieniem, lecz łagodną i ukojną afirmacją stanów własnej duszy, i dźwięczą razem z nią pogodnym zestrojem. Kto wie, czy harmonja nie jest szczytem szczęścia ludzkiego i jedyną prawdziwą jego formą? Harmonji tej próżno szukać w wielkiem mieście, pełnem sprzeczności i zgrzytów. Ale znaleźć ją można w naszem sielskiem, cichem, zielonem Wilnie. I w tem jest jego odrębność, wartość i piękno.

SPIS ILUSTRACYJ

Ilustracje niniejszej książki zostały odbite na papierze kredowym z krajowej fabryki „J. Franaszek Sp. Akc.” w Warszawie.

Oryginały ilustracyj zostały wykonane przez autora na papierze bromowym z krajowej fabryki „Alfa“ w Bydgoszczy.

Klisze do ilustracyj wykonał zakład cynkograficzny Feliksa Zaniewskiego w Wilnie.